

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok III. ŁÓDŹ, 14 sierpnia 1960 r.

Nr 32 (128) Cena 1 zł

MALARIA - ZMORA ludzkości

Miliard dwieście milionów zagrożonych

Tegoroczna, trzynasta sesja Światowego Zgromadzenia Zdrowia poświęcona była całkowicie problemowi zwalczania zimnicy czyli, — jak mówiono dawniej — malarii. Dziewięćdziesiąt dwa państwa członkowskie Światowej Organizacji Zdrowia (WHO — World Health Organisation) zobowiązały się uroczystie skoncentrować wszelkie umiejętności i zasoby, w celu likwidacji najgroźniejszej dzisiaj choroby.

To nie żarty. W roku 1960 jedna trzecia ludności kuli ziemskiej — miliard dwieście milionów ludzi zamieszkujących 148 krajów w 73 państwach — wegetuje w oplakanych warunkach pod nieustanną grozą epidemii. Są to przeważnie niedożywieni nędzarze, ludzie słabi fizycznie i nieodporni psychicznie, absolutnie nieprzygotowani do walki z chorobą, którą uznają za dopust boży. Powstaje istne błędne koło: malaria atakuje najsłabszych, ale jest równocześnie źródłem ich słabości. Na terenach zakażonych, dziesiątkując w ciągu tysiącleci całe narody, podkopuje siły i odporność generacji pozostałych przy życiu, paraliżuje wolę, osłabia inicjatywę, zniekształca poczucie moralne jednostek.

Najobfitsze jednak żniwo zbiera zimnica wśród najmłodszych. Jak wykazują statystyki z ostatniego dziesięciolecia, roczny plon jej wynosi od dziesięciu do piętnastu procent wszystkich zgonów dzieci całego świata.

Dlatego właśnie kampania zakrojona została na tak wielką skalę. Nigdy jeszcze w dziejach ludzkości nie zmobilizowano tak wielkiej koalicji międzynarodowej, tak licznej armii uczonych, lekarzy, techników i specjalistów różnych innych branż do walki z jednym tylko wrogiem.

W ciągu tysiącleci zimnica uważana była za tajemniczą dolegliwość, której objawy kojarzono z niezdrowym klimatem, a zwłaszcza z cuchnącymi wylęgami spleśniałych wód bagiennych. Kto mógł opuścić niegościnnie okolice, profilaktycznie stosowano rów-

niez melioracje i osuszanie bagien. Najczęściej jednak przyjmowano dopust boży z należną pokorą i rezygnacją — na olbrzymich połaciach błotnistych dolin Eurazji, w tropikalnej dżungli malaria uchodziła za jeden z niewzruszonych elementów

ustalonego od wieków porządku rzeczy.

NISZCZYCIELKA ŚWIETNYCH CYWILIZACJI

Jeżeli zważymy, że na terenach malarycznych zimnica dziesiątkowała od wieków całe pokolenia, że ludzie przeżarte chorobą nie byli zdolni stawić jej czoła, bo ci, którzy przeżyli, zalamywali się fizycznie i psychicznie — zrozumiemy być może lepiej bezzasadność teorii rasowych, przestaniemy się dziwić, że jedne narody zdążyły się na tyle energii i tak wiele osiągnąć, a inne — w drugiej połowie dwudziestego wieku — wciąż jeszcze wiodą pożałowania godną egzystencję. Są nawet uczeni, którzy stawiają śmiałą hipotezę, że całe dzieje "ludzkości mierzyć można rylmem morderczych epidemii zimnicy, że ona to właśnie odpowiedzialna jest za upadek wielkich narodów i klęskę świetnych cywilizacji.

A teraz wyobraźmy sobie, że zmora ta — niby średniowieczna dżuma — ciąży nadal nad jedną trzecią ludności świata — i to nad ludami, które i tak noszą najstraszniejsze jarzmo cierpienia i niedostatku.

WYSILKI MEDYCyny

Do niedawna jedynym lekarstwem na malarię była chinina — wyciąg z kory drzewa chinowego. Czasami stosowano także puszczenie

Dalszy ciąg
na str 2



W numerze m. innymi:
KORRESPONDENCJA Z ANGLII-str. 7



NIEBOSZCZYK WSTAŁ O DRUGIEJ PO POŁUDNIU-str. 5



Świątynia Hanuman Doka w Katmandu, stolicy Nepalu

TADEUSZ PAPIER

O CZYM OJCOWIE ZAPOMNIELI?

Felieton kumoterski z okazji pominięcia literatów i dziennikarzy przy rozpatrywaniu nagród artystycznych województwa łódzkiego

Który z łódzkich publicystów, dziennikarzy, literatów zajmuje się sprawami terenu? Czy ukazały się książki poświęcone łódzkiej wsi, łódzkim osiedlom i miasteczkom? Czy ukazują się publikacje, w których znajdują odbicie problemy naszego

województwa, które powiada, czym żyje współczesna wieś?

Wydaje się, że postawione pytania nie wymagają odpowiedzi, należą do gatunku pytań retorycznych, że nawet goibieży obserwator powinien mieć jaki taki obraz

naszej twórczości publicystycznej i literackiej. Tym czasem tak nie jest, wytworzył się mit prawie oficjalny, że sprawy terenu rzadko są poruszane przez naszych twórców, że nie ma takich publicystów, nie ma takich działaczy, nie ma pisarzy, w

ten mit się wierzy. Odpowiadają niektórzy krytycy: ponieważ nie ma współczesnych „Chłopów”, więc nie ma literackiego odbicia współczesnej wsi, nawet literaci, do których należy nieraz ferowanie wyroków w tej sprawie, nie znajdują pośród siebie takich twórców.

Chciałbym się zastrzec, że nie piszę krytycznego felietonu, nie rozważam też dziejów łódzkiej wsi, szkic jest

z konieczności pobieżny, wylicza, informuje, a nie ocenia, interesują mnie dzieje literackiego odbicia wsi w książkach i publicystyce, to że nie ma jeszcze współczesnych łódzkich „Chłopów” nie przestrasza mnie, poważna twórczość to nie kronika filmowa. Lew Tołstoj powiada, że malowanie wielkich płócien wymaga dłuższego okresu czasu. Nie obawiam się też zarzutu, że felieton będzie poruszał twórczość pisarzy i publicystów „z jed-

(Dalszy ciąg na str. 4)

MALARIA

Dalszy ciąg ze str. 1



Główny wektor zimnicy w Afryce — straszliwy komar z rodzaju widliszków (Anopheles Gambiae)

krwi. Ostatnio używa się raczej rozmaitych specyfików syntetycznych wynalezionych w konsekwencji obu wojen światowych. Niemcom — odcietym od dostaw chininy w latach pierwszej wojny — powiodły się próby laboratoryjne w roku 1927. Później przyszła kolej na Aliantów, gdy Jawa — skąd sprowadzano korę chinową — wpadła w ręce Japończyków.

Dzisiaj istnieje już ogromny arsenał medykamentów antymalarycznych. Są leki przeciw infekcji, środki zapobiegawcze, których używają podróżnicy wybierający się do krajów zakaźnych. Są i takie, które skutecznie leczą chorobę. Wszystkie ma-

ją jednak wielką, wspólną wadę: działają przez czas bardzo krótki. Trzeba je zażywać często i regularnie.

Dlatego nie nadają się do zwalczania epidemii. Wszystkie próby systematycznego rozdziału leków wśród ludności zamieszkującej tereny malaryczne zawiodły.

Poczęto więc szukać leku, który by nie tracił długo wydajności i który można by stosować — w odpowiednio silnej dawce — w szerokie odstępach czasu. Najlepszą wydawała się szczepionka, ponieważ, przy masowym szczepieniu ludności, nikomu nie udało się „wymigać” od zastrzyku. W dodatku ludźmi prymitywnymi nie mają absolutnie zaufania do

wszelkich pigulek, ale wierzają w zastrzyki i chętnie poddają się zabiegom, które „sprawiają ból”.

KARIERA DDT

Jednakże zwrot decydujący w walce z malarją nastąpił dopiero po wojnie, z chwilą kiedy Szwajcar Müller wynalazł dwuchlorodwufenylo-tróchloroetan, popularne DDT.

Teraz — zamiast ograniczać się jedynie do leczenia chorych i najwyżej profilaktyki — można było przystąpić do całkowitego wypięcenia roznoszących ją oprasowano kampanie definitywnego wyniszczenia komarów i wykorzenienia raz na zawsze malarii z powierzchni kuli ziemskiej.

Proceder wydawał się prosty. Stwierdzono już dawno, że komar, opity krwią i odciekami, nie odlatuje daleko, lecz siada na pobliskiej ścianie, by w spokoju przetrwać pokarm. W tym momencie należało go zabić, nim zdąży odlecieć i użądlić następną ofiarę. W ten sposób proces zarażania zostałby przerwany. Po wyliczeniu chorych, co jest dzisiaj sprawą względnie łatwą, pasożyty wyginęłyby bezpowrotnie, a widliszki, nawet gdyby jakaś część zachowała się przy życiu, nie byłyby już groźne wobec braku zarazków.

Mając do dyspozycji sil-



Nasza szkoła

My, Polscy zbiorowość ludzka, wykazujemy niespotykaną nigdy i nigdzie w świecie energię twórczą, pomysłowość, zaradność i mnogość wsłków fizycznych i psychicznych służących zadziernaniu w górę naszej prywatnej stopy życiowej. Niestety, w jednej tylko dziedzinie: pożyczania pieniędzy.

Gdyby taką ilość czasu, taki wachlarz znakomych pomysłów, taką przedsiębiorczość i upór wykazywać w dziedzinie produkcji dóbr co w sferze cyrkulacji i dysponowania pieniędzmi — do chłód narodowy podskoczyłby znacząco i raptownie.

Mam znajomego — dziennikarskiego chałupnika. Ma on dość dużo możliwości za rabiania. Nie starcza mu wszakże na to czasu. Kiedy wstaje o rano, jego umysł zaprzęgnięty jest jedną, jedyną myślą: gdzie pożytecznie pieniądze na przeżycie tego dnia. Trudno powiedzieć, że ów człowiek nie nie robi. Przeciwnie. Od rana rusza „w miasto”. Intensywnie szuka kandydata na wierzyciela.

W ciężkim trudzie wymyśla co dzień nowy, nieograniczonego wyciągnięcia forsę, inwestuje mnóstwo czasu w zabiegłi towarzyskie podprowadzające do upragnionego „strzału”. Znowu rewantuje się świadczeniami towarzyskimi. Wiele nie przesadzę jeśli powiem, że na tym schodzi mu cały dzień.

Gdyby od rana usiadł on do pracy, w ciągu godziny, dwóch zarobilby (taki zawód) ową upragnioną sumę. W gruncie rzeczy kosztowałoby to mniej wysiłków, twórczej myśli i czasu. Ba, ale pieniądze byłyby dopiero za dwa tygodnie...

Mój znajomy siada wreszcie kiedyś do pracy, bo długi trzeba mniej więcej pooddawać. Pracuje jednak tydzień na spłatę długów. A w ten sposób pracuje w dwójnasób. Powiedzieć mu, że to się nie kalkuluje? Pozwierdz. Ale system pożyczania stwarza dlań złudzenie rzeczywistego pomnażania posiadanych wartości.

Przytaczam tu przypadek skrajny, ale bynajmniej nie wyjątkowy. Ogromna ilość ludzi normalnie pracujących pożyczka pieniądze, po czym oddaje je przy następnej pensji, oddaje często pełną stawkę swego zarobku. Ergo na nowo musi pożyczać. Przypuszcmy, że ów miesięczny zarobek wynosi 2000 i ta kwota jest sumą permanentnego długu. Z pozoru nie tu nie zmienia. Ów na-

rogowy dłużnik zarabia i wydaje tyleż samo. Ba, powie on przecież, że na tym systemie zarobil kiedyś tam owe 2000 zadłużenia pierwotnego, którego de facto nigdy nie oddał, dług bowiem się utrzymuje, a dłużnik zmienia tylko osobę wierzyciela.

Jednego tylko nie bierze on pod uwagę: kosztów własnych (czas, świadczenia towarzyskie, rewant, wysiłek umysłowy) samego pożyczania i tego, że jego normalny budżet jest chronicznie złamany i zwiechrowany i tego, że jeśli nie chce zwiększać sumy długów nie może ani np. oszczędzać na coś w PKO, ani kupować

„Pożycz pan stówę!”

niczego na raty i tego wreszcie, że systemowi życia w stanie chronicznego zadłużenia towarzyszy z zasady poczucie posiadania cięższych nad człowiekiem trosk materialnych.

Polski system ustawicznego pożyczania jest w świecie zupełnie wyjątkowością. Nie wiem, czy istnieje jeszcze jakiś kraj, którego obywatelstwo akceptuje system pożyczania pieniędzy od bli-



nich. Raczej nie. Na całym chyba świecie jest to rzecz nie do pomyślenia. Każdy wydaje najwyżej tyle, ile zarabia, a chodzenie po pożyczkowej prośbie traktowane jest tak, jak u nas żebranie; czynność ta charakteryzuje ludzi w jakichś sposób przegranych, „upadłych”. U nas nie jest to zaś czynność niehonorowa.

W takiej Anglii ponoć nie ma nawet zwyczaju pożyczania od sąsiadki kilku groszy, kiedy akurat nie ma się w domu drobnych dla zapłacenia listonosza. A słyszam, że angielski sąd wydał w tych kwestiach ostatnio dosyć dziwny wyrok. Stanęło przed sądem dwóch polskich emigrantów, z których jeden pożyczył drugie-

mu jakąś sumę pieniędzy. Sędzia do wiedziawszy się że jeden i drugi zarabiają tyle samo, zdziwił się, iż ten pierwszy mógł znaleźć się w tarapatkach, skoro drugi miał nawet na pożyczkę, po czym oddał sprawę kwitując ją uwagą: „Trzeba było nie pożyczać”.

Kiedys się zdawało, że ten nasz niefrasobliwy zwyczaj korzystania z pożyczek wiąże się ze strukturą ekonomiczną kraju. Boć na zachodzie np. wbrew pozorom ludzie de facto pożyczają — masowo kupując na raty. U nas jednak też zapanał z czasem system sprzedaży ratowej, pożyczek związanych ze specjalnymi okazjami i sytuacjami u dzielając kasy pożyczkowe, a system prywatnego „strzelania” bynajmniej nie ginie.

Tłumaczono też tą naszą manie swoistą tradycją narodową, polską specyfiką, nawykami życia ponad stan wywodzącym się z obyczajów szlacheckich, utrwalonych przez różne historyczne koleje losu Polski, odzwyczajające od życia z myślą o przyszłości, a uczące używania póki czas. Jest to jakaś półprawda, której nie sposób ominąć, ale przyczyną istnienia takich społecznych nawyków coraz bardziej należą do przeszłości.

Obserwujemy raczej dążność do stabilnego urzędowania sobie życia, gromadzenia trwałych dóbr użytkowych, dyktat obyczajów każdego legitymować się przed swoim środowiskiem jakim takim dorobkiem materialnym.

Ciekawe, że to, miast rugować cygańskie formy gospodarowania zarobkami, eliminować system pożyczania, tworzy jakiś model wehłańcy i obyczajuje pożyczania i rozwierzenia gospodarstwa na skalę rodziny z jednej strony i formy statecznego dorabiania się, stabilnego życia poprzez planowe inwestowanie — z drugiej. Życie ponad stan zaczyna zawierać w sobie dorobek ponad stan.

I jeśli mimo wszystko coraz mniej ludzi chronicznie pożyczają pieniądze, to przede wszystkim dlatego, że kurczy się baza tych, którzy pożyczek udzielają. Kurczy się wraz ze wzrostem potrzeb i możliwości ich zaspokajania. Niknie wolny pieniądź. A jeśli ktoś takowy jeszcze posiada, to składa go co rychlej na lśnięcie docelowej PKO.

W kawiarni za to pojawia się coraz częściej jakiś znajomy, który mierzy w człowieka palcem i mówi: „Bach — strzeliłem! Pożycz stówę do jutra”. Po czym śmieje się ze swej propozycji, jak z dobrego dowcipu. Bo z pożyczaniem jest jak z paleniem papierosów. Ludzie nawet odwykli od nikotyny nie łatwo odzwyczajają się od samego gestu zapalania.

BELFER

KAZIMIERZ ZYGMUND

Blisko sto lat...

Pięćdziesiąt milionów złotych otrzymały Zakłady Im. Harnama na unowocześnienie maszyn i urządzeń produkcyjnych. Dzięki temu zastrzykowi jeden z najstarszych zakładów Łodzi zmienił swoje oblicze. Za trzy lata fabryka będzie obchodzić jubileusz — stułecia istnienia, za trzy lata, miejmy nadzieję, fabryka wystąpi w nowej szacie, zamiast starzeć się, młodnieje.

Teraz, na którym rozmieszczone są zabudowania fabryczne, jest rozległy, niemal jak majątek ziemski, jednakże dyrektor Zakładów musi codziennie go obejść, nie jest to łatwe, tym bardziej, że drogi są zle, wystarczy trochę deszczu, a tonie się w błocie jak na zapadłej wsi.

Ten stan rychło poprawimy — zapewnia mnie dyrektor Polawski. — Na budowę dróg przeznaczono cztery miliony złotych. W niedługim czasie o transporcie wewnętrznym przestaniesz się mówić, jako o teorii wyczytanej w piśmie technicznym. W tej chwili trwają prace przy układaniu nowej nawierzchni, „powołuje się do życia” zieleniec.

Dyrektor drobiazgowo informuje mnie o zamierzeniach w zakresie upiększania terenów fabrycznych. Myślę, że czyni to dlatego tak szczegółowo, gdyż mało ma okazji, by z kimś się „a ten temat” podzielić myślami. Rzadko bowiem fabryki odwiedzają znakomitości rodzime czy też z Warszawy.

Nawet poseł, który przed czterema laty został przez załogę wybrany — więcej w fabryce się nie pokazał, chociaż do tej pory pamiętają tu niejedną obietnicę rzuconą w ferworze przemówienia wyborczego.

Ryzykuję stwierdzenie, że chociaż zakłady eksportują swoje towary na wszystkie kontynenty, to jednak prawdziwą sławę zawiązującą zespołowi tanecznemu, który także niejedną podróż odbył zagranicę, niejedną odnosząc tam sukces.

A w kraju? Nie ma uroczystości włókienniczej bez tancerzy od Harnama. Tak więc piękne tancerki więcej przysparzają popularności zakładom niż atrakcyjne zerówki koszulowe, notabene, tak skąpo kierowane do sprzedaży na rynek krajowy.

Mówimy o zakładzie, którego obrót roczny wynosi

sześćset milionów złotych. W naszym mieście znajdują się fabryki, liczące grubo ponad pięć tysięcy zatrudnionych, a nie dwa tysiące z czymś tam — jak w Zakładach Harnama, niemniej i ten zakład zrosł się z krajobrazem Łodzi.

W tej to fabryce, jak wspominałem na początku, zachodzą zmiany charakterystyczne dla całego przemysłu włókienniczego. I tym też sprawom pragnę poświęcić parę słów.

Oto oddział przygotowawczy przedziałni. Przez duże okna wpada dzienne światło. Stosunkowo ciche warunki maszyn. Nowoczesne agregaty dyskretnie, bez wrzawy, przerabiają surowiec. Pracują tu zaledwie dwie osoby. Są to wysokiej klasy fachowcy wykształceni w dziedzinie elektroniki. Tu trzeba pracować z precyzją, a nie mięśniami. Cała filozofia mieści się „w szafie”. Zdumiewające, prawda? A jednak prawdziwe... w szafie sterowniczej.

Nagle odzywa się dzwonek. Awaria. Na szafie sterowniczej pojawiają się światełka. Mijają ledwie sekundy — błąd już wykryty. Kilka fachowych manipulacji i znów wszystko w porządku. Maszyny pracują.

Stąd zwoje niedoproduktów powędrują do sąsiedniej sali na zgrzeblarki. Tu poważna część maszyn wykonana według najlepszych wzorów, równie dobrze się spisuje. Na tym oddziale najwidoczniej daje się odczuć, gdzie lokuje się owe pięćdziesiąt milionów złotych, przeznaczonych na odnowienie przemysłu włókienniczego.

Z przyjemnością przyglądam się jak montażysty, a właściwie demontażysty, rozbierają stare koła napędowe, tak zwane transmisje. Na uwolnionych miejscach staną niebawem nowe zgrzeblarki. Każda z indywidualnym napędem, dająca robotnikowi pełną gwarancję bezpieczeństwa pracy.

Cechą charakterystyczną hal produkcyjnych Zakładów Harnama jest idealna czystość. Tak czystej hali tkalni chociaż maszyn tu jeszcze stare, nie miałem okazji dawno widzieć. Praca w takich warunkach jest znacznie przyjemniejsza. Wszędzie widać dbałość o maszyny, troszkę o wygląd zewnętrzny obiektu, o estetykę, o zielen. Przy nowej drodze zachowane są wszystkie drzewa, chociaż

nasuwa to wiele trudności kamieniarzom. Drzewa stoją, zielen obramowuje stara mury.

— Na przyszły rok — informuje dyrektor Polawski, wodząc palcem po planie zabudowy terenów — wszystkie budynki fabryczne będą otynkowane, a wokół powstaną pasy trawników. Fabryka musi przyciągać a nie straszyć swym wyglądem.

Uczynić pracę lżejszą, łatwiejszą, uzyskać wyższą jakość tkanin — to naczelne hasło przestało być tylko hasłem na niektórych odcinkach wydziału farbiarni. Do wykończania tkanin zainstalowano najnowocześniejsze maszyny, jakie tylko są dostępne na rynkach światowych. Aby móc obsługiwać te precyzyjne zegary — jak żartobliwie o maszynach mówi dyrektor — trzeba być wysokiej marki technikiem, trzeba się wylegitymować wykształceniem. Zrezygnowała z nich nauka panuje tu wszechwładnie. Każdy zdaje sobie sprawę z tego, że brak wykształcenia technicznego uniemożliwi mu pracę w przyszłości. I to było powodem, dla którego w zakładzie opracowano 5-letni plan nauki dla majstrów, robotników i pracowników administracji.

Nie wspominałem jeszcze nic o współzawodnictwie. Dla osób biorących udział w rywalizacji o lepsze wyniki pracy nie starano się stworzyć jakichś specjalnych cieplarnianych warunków.

Współzawodniczą ci, którzy chcą (jest ich trzystu).

Co z tego mają oprócz tytułu przodownika pracy? Na to pytanie trudno odpowiedzieć, gdyż fundusze premiowe nie są wysokie. A więc chodzi im jednak o satysfakcję. Za kilka dni zakłady otrzymają elegancki autobus typu „Karosa” — roponiak i właśnie tym autobusem przodownicy pojedą na pierwszą wycieczkę zagranicę.

Zwiedzając Zakłady Przemysłu Bawełnianego Imienia Harnama w Łodzi, w 1960 roku — nie można oprzeć się silnemu wrażeniu. Chociaż pozornie — tak jak kiedyś — są tu jeszcze czerwone mury i tak jak kiedyś wysyła się towary na wszystkie kontynenty, a jednak jest to zupełnie inna fabryka niż ta w której pracował i walczył kilkanaście lat temu Szymon Harnam.

ZMORA LUDZKOŚCI

ny środek owadobójczy ustalono, że wystarczy, jeśli na terenach dotkniętych malarją będzie się systematycznie opylać stężonym roztworem DDT wszystkie miejsca, na których siadają komary, a w szczególności ściany wewnętrzne wszystkich domostw. Światowa Organizacja Zdrowia wydała odpowiednie dyspozycje, i po frochu, na całym świecie przystawiono do akcji.

Sposób wrócił powodzenie, tym bardziej, że kampanię poprzedziło solidne przygotowanie gruntu. Dokonano dokładnych spisów ludności zagrożonych malarją, oszacowano powierzchnie ścian, które należało opylić, skalkulowano koszty — wyniosły one niecałogo dolara na głowę — wyliczono ilość ekip sanitarnych, wyposażenie w konieczny sprzęt i aparaty rozpylające, ustalono minimalną liczbę manewrów każdej ekipy.

Stopniowo akcja nabierała rozmachu. Systematycznie i bez fuzerki docierano do najdalszych zakątków globu, penetrowano wieś po wsi, dom po domu.

Wbrew pozorom sprawa wcale nie była łatwa. Okazało się, że trzeba walczyć pod opieką — i kontrolą równocześnie — miliard dwieście milionów istot ludzkich, których tryb życia i obyczaje niesłychanie się różnią. Nie można było stosować jednego, z góry przyjętego szablonu, należało wypracować plany regionalne dla każdego kraju i terytorium. Co gorsza, pacjenci mieszkali przeważnie w trudno dostępnych okolicach, z dala od wszelkich dróg, i wędrowka ekip pochłaniała mnóstwo czasu. Z kolei trzeba było przekonywać opornych, którzy z bronią w ręku przyjmowali nieraz natarć w pełni spełniających w sanktuarium ich domów jakies tajemnicze i podejrzane obrzędy. Zdarzało się, że skrzętnie gospodynie zaraz po odejściu sanitariuszy smarowały ściany wapnem, nieważąc w ten sposób skuteczność zabiegu.

Trafiały się problemy jeszcze bardziej skomplikowane. W niektórych regionach

— na przykład w dorzeczu Amazonki — ludność budulu, tysięcy statków, ciężarów po prostu kładzie deski na czterech słupach. Oczywiście moskit ulatuje tam poza schronienie i trzeba opylić cały teren przyległy. Bywa ją gaunki moskitów, które siadają na czas zbyt krótki by wchłonąć zabójczą dawkę, a bywają i takie, które nie żądają nigdy wewnątrz pomieszczeń.

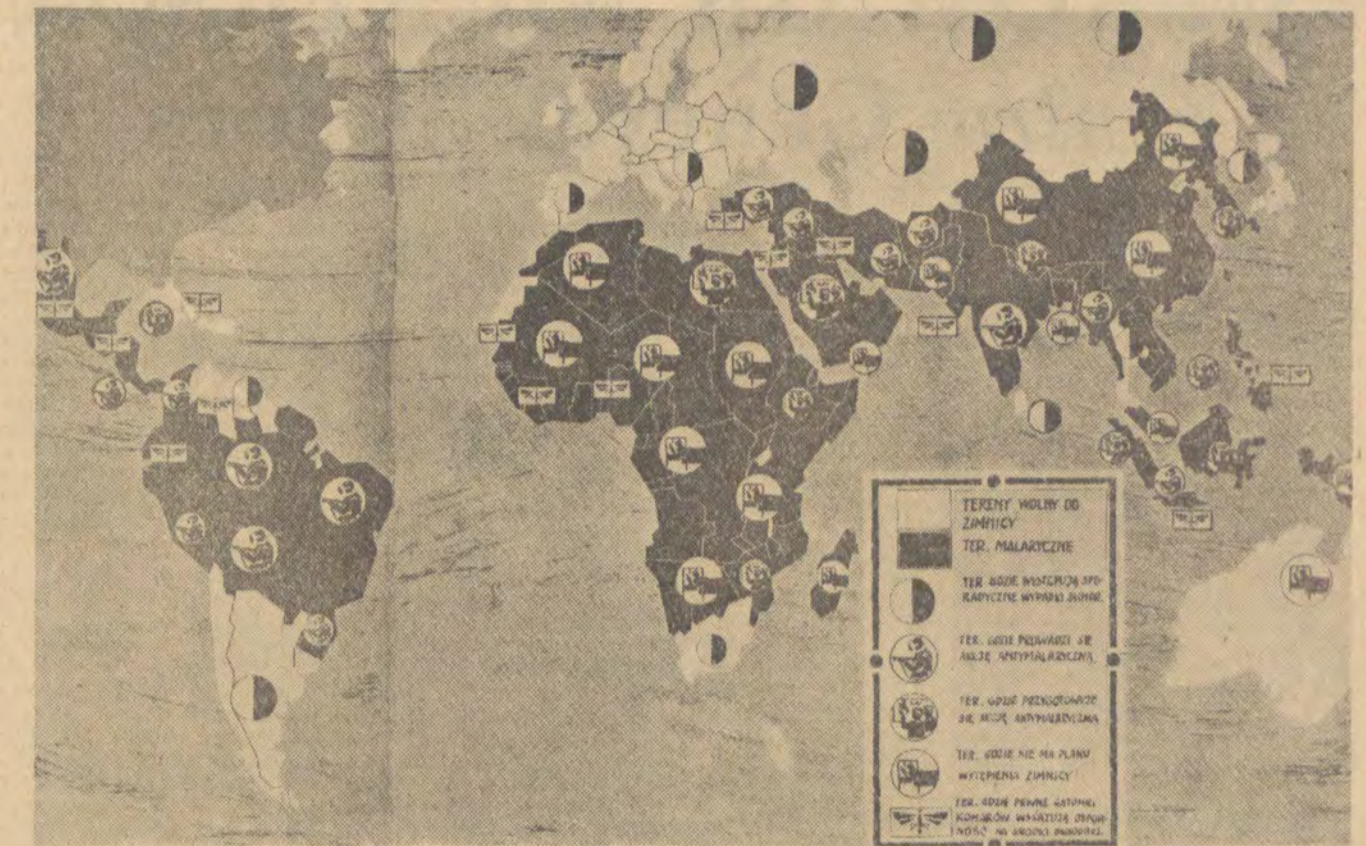
W puszczy brazylijskiej, gdzie malarja zagraża przemilionom tubylców i gdzie klasyczne metody rozpylania środków owadobójczych praktycznie zawodzą, zastosowano inny jeszcze sposób walki, który dał wyniki nadszpejzowanie dobre. Mianowicie z incjatywy dr Mario Pinotti poczęto do soli kuchennej dodawać nie co lekarstw antymalarycznych, tak jak u nas w okolicach podgórskich miesza się sól z jodem. W strefie eksperymentalnej w stanie Parà po czterdziestu dniach niedostrzegalnej kuracji wśród stałych mieszkańców nie zanotowano ani jednego przypadku choroby.

Na ogół jednak rozpylanie okazało się metodą bezkorekcyjną. Wszędzie, gdzie je wprowadzono, mordercza plaga poczynała szybko zniknąć i zdawało się, że ostateczne zwycięstwo jest bliskie.

KOMARY WYTRZYMAŁY ATAK

Aż nagle... W roku 1951 zatrąbiono na alarm, DDT przestało działać, Komary wytrzymały atak i przestały ginąć. Przyzwyczajony się widocznie i uodpornił na morderczą truciznę.

Uczni i producenci nie chcieli początkowo wierzyć. Wysunęli zarzut, że zespoły sanitarne pracowały niedokładnie i używały zbyt słabego roztworu. Polecili wzmożenie dawki, rozpocząć na całym froncie światowym wojnę totalną i błyskawicznie zanim sporadyczny stan oporu nie upowszechni się. Przy puszczał bowiem, że nastąpiło coś w rodzaju przystosowania. Jak u narkomana, który znosi bez widocznej



szkody wzrastające stopniowo dozy narkotyku. Doży na początku zabójcze.

Efekt był minimalny. Moskity i tym razem wyszły z zapasów zwycięsko.

Na frontach walka chwilowo przygasła. Bitwę generalną rozgrywano teraz w ciszy gabinetów i laboratoriów. Ruszono do ataku odwoły: entomologów, genetyków, biochemików.

Do słynnego londyńskiego Ross Institute of Tropical Medicine poczęła napływać dziwna poczta. W pudełkach a nawet zwykłych listach nadsyłano z czterech stron świata szary pyłek — jajeczka moskitów. Z jajeczek legły się roje larw, które doskonale karmiono, między innymi popularną odżywką pyzatyk niemożliwą angielskich — mączką „Baby-food”.

Komar obłąskawia się dość łatwo. Po tygodniu w klateczkach z misternej plecionki zrywały się do lotu dorosłe osobniki. Sameców odżywiano cukrem, samice,

oczywiście, krwią — często z przedramienia badacza. Z kolei poddawano — komary działaniu środków owadobójczych, by oddzielić odporne od nieodpornych. Następnie kojarzono małżeństwa: między odpornymi, nieodpornymi, mieszane. Cza sami trzeba było stosować sztuczne zapładnianie, bo niektóre gatunki komarów odmawiały ślubu w klatce. Z małżeństw tych rodziły się nowe pokolenia — wrzliwce, odporne i hybrydy — a każde z nich na środki owadobójcze reagowało inaczej.

ISTOTA ZJAWISKA ODPORNOŚCI

Cierpliwe i drobniagowe badania setek generacji pozwoliły wreszcie uczonym ustalić, na czym polega istota zjawiska odporności.

Komar nie uodpornia się na truciznę, on się odporny rodzi. Można dziś śmiało stwierdzić, że zanim wynaleziono środki owadobójcze — już istniały osobniki posiadające wrodzoną na nie wytrzymałość.

Rozpylając DDT wyniszczono szybko gatunki podatne. A wówczas wytworzyło się środowisko złożone wyłącznie z odpornych. Z czasem wyselekcjonowały się no we pokolenia obdarzone wzmoczoną cechą odporności. Okazało się, że komary zmieniają skład chemiczny danego środka owadobójczego i rozpuszczają trujące składniki.

Wszystkie te dane przekazano producentom z zaleceniem wytworzenia innych, bardziej skutecznych substancji toksycznych.

Ale równocześnie wykryto, że dotychczasowe środki owadobójcze mają dalsze wady, ograniczające ich skuteczność. Bywają na przykład powierzchnie murów, które absorbują truciznę albo rozkładają ją tak szybko, że staje się zupełnie bezwartościowa.

Słowem trzeba usunąć wiele błędów, pamiętać o wielu szczegółach i rozwiązać wiele problemów, nim można będzie podjąć ostateczne natarcie. A jednocześnie trzeba działać szybko, ponieważ grozi niebezpieczeństwo, że nowe gatunki komarów, roznosiciele malarji, uodpornią się na środki owadobójcze. Uczni prowadzić muszą prawdziwy wyścig z czasem.

Tym bardziej, że nie chodzi tu o poddanie się przeciwnika, ale o jego całkowitą eksterminację.

ARMIA DOBREJ MISJI

Na Światową Organizację Zdrowia spada zaś zadanie poprowadzenia kampanii na skalę dotychczas w tej dziedzinie niespotykaną, ogromnych operacji strategicz-



W asyście stroskanych rodziców lekarz bada chorego chłopczyka z irańskiego plemienia Kurdów. Dziewczynka na szczęście jest zdrowa. Pleśniarz wypełnia tylko arkusz statystyczny

nych na wszystkich frontach świata. Stosownie do tego zadania stworzono armię antymalaryczną, prawdziwą armię ze służbami zaopatrzeniem, środkami transportu składami broni i amunicji biurom operacyjnym i sztabem generalnym. Kwatera naczelnego wodza mieści się w maleńkim gabinecie w jednej z najpiękniejszych dzielnic Genewy. Stąd dr C. A. Alvarado dyrektor Wydziału Walki z Zimnicą WHO, zarządza 329 dowództwami jednostek, operujących w 73 krajach.

„Wykorzenienie zimnicy — mówi dr Alvarado — oto przede wszystkim problem organizacji i administracji, ponieważ dzięki nauce i technice posiadamy już dzisiaj wszelkie podstawowe dane i staramy się tylko o szybkie rozwiązanie ostatnich niewiadomych. Ale nasz gigantyczny program wymaga dziesiątków tysięcy ekip milionów ton materiału, tysięcy statków, ciężarówek, samochodów osobowych, rowerów osłów, wielbłądów i słoń. Trzeba rozprowadzić tysiące ton lekarstw, zbadać setki milionów próbek krwi, skoordynować działalność setek laboratoriów, zebrać setki tysięcy raportów, opracować je na zebraniach ekspertów przełożyć na wszystkie niemal języki świata i przelać do wszystkich ośrodków. Musimy sporządzić tysią-

ce map geograficznych i wykresów, dokonać nowych spisów ludności, śledzić poruszenia milionów koczowniców. A jednocześnie czekają nas setki nudnych konferencji, mowy, układy i wykłady, by użyteczność środków które podejmujemy, została należycie doceniona przez ludzi dla których są przeznaczone:”

„Ale — konkluduje dr Alvarado — dopiero w takich wymiarach przedsięwzięcie Światowej Organizacji Zdrowia daje nadzieję całkowitego pokonania plagi!”

W roku 1950 Francuz Karol Laveran zdołał ustalić, że zarodkiem zimnicy jest pasożyt (Plasmodium vivax), który rozmnaża się w czerwonych ciałkach krwi i niszcząc je powoduje niedokrwistość. W 1898 Anglik Donald Ross odkrył, że zarodki malarji ptasiej przenoszone są przez samice mustyków. W tymże roku uczeni włoscy stwierdzili że zimnicę ludzką przenosi specjalny rodzaj komarów — widliszek. Żywiąc się krwią ludzką samica widliszka pobiera zarodki z osobnika chorego i wstrzykuje je zdrowemu. Straszliwy, bezgłówny komar operuje w nocy i nie zostawia śladów okaleczenia. Tak więc ludzie nawet nie wiedzą, że w czasie spokojnego snu zostali zakażeni i zaczynają się zazwyczaj leczyć, gdy już wystąpią silne objawy chorobowe.

Opracował H. O.



Przygotowanie rozpylacza DDT na Filipinach

PULKOWNIK NICKERSON contra General Motors

„Jedyna rada na to, żeby ich dogonić — to kroczyć szybciej niż oni, nie wiem niestety dokładnie, jak szybko oni idą naprzód. Twierdziłbym że najlepiej pójść naprzód, jakby diabeł deptał nam po piętach”.

Niepewność, obawa i rozczarowanie przeglądają ze słów generała Medarisa, który do niedawna kierował ośrodkiem rakietowym armii lądowej w Huntsville, gdy na konferencji prasowej starał się wyjaśnić powody swojej dymisji i melancholijnie stwierdzał, że w dziedzinie kosmicznej Stanów Zjednoczonych są o dobre pięć lat w tyle za Związkiem Radzieckim.

Cóż się dzieje za kulisami tego wysiłku o zdobycie Kosmosu?

NIJAKI RICHARD PORTER

Historia zaczęła się w momencie, gdy wojna dogasała w Europie. W 1944—45 r. na terenach zajmowanych przez armie sprzymierzone działał niejaki dr Richard Porter. Chodził wprawdzie w mundurze amerykańskim, ale pozostawał na apatach General Electric i przez tę firmę został wysłany do Europy dla „rekrutacji” uczonych niemieckich do prac pewnego typu w USA. Z powierzonego zadania wywiązał się znakomicie. Najlepszy połów udał się w Penemuende; w sieci zagarnął to setkę uczonych z Wernherem von Braunem na czele. Dr Porter eskortował ich osobliwie do Nowego Meksyku, gdzie firma — matka poleciła mu prace nad V-2,

przetrasportowanymi z Niemiec. Wyniki tych obserwacji spoczyły w teczkach General Electric, która otrzymała od armii lądowej kontrakt na budowę rakiet, wyrażony w okrągłych, astronomicznych cyfrach. Nie stety, w 1951 roku zapadła niespodziewana decyzja, że armia sama rozpocznie prace nad konstrukcją rakiety w Huntsville, gdzie zainstalowano z czasem ekipę von Brauna.

Decyzja ta postawiła Portera w delikatnej sytuacji wobec chlebodawców, którzy włożyli poważne sumy w instalację; okazały się one bezużyteczne. Nie darmo jednak Porter piastował prezesurę American Rocket Society; pozwalało mu to przeforsować projekt nie armii lądowej a marynarki wojennej oparty na motoryzacji konstrukcji General Electric. Porter stał także za kulisami kampanii prasowej, rozpętanej pod hasłem: sztuczny satelita musi być tworem amerykańskim w 100 proc. Oznaczało to odwołanie się do planu drugiej ekipy von Brauna. Tak zrodził się projekt „Vanguard”, który potem miał okryć Amerykę śmiesznością.

PROCES PULKOWNIKA NICKERSONA

Poważny cios zadany ekipie z Huntsville wywołał ripostę pułkownika Nickersona, trzeciego w hierarchii tego ośrodka po Medarisie i von Braunie. Opracował on memoriał dowodzący, że decyzja Pentagonu obraca w nieważność obciążające rezultaty otrzymane w Huntsville

i wyraźnie faworyzuje kontrę General Motors, na czele którego stał Charles Wilson — na długo przedtem, nim został ministrem obrony.

Kilka egzemplarzy sensacyjnego memoriału przedostało się do rąk osobistości wysoko postawionych. Płk. Nickerson wkrótce w czerwcu 1957 r. został postawiony przed sądem polowym „za zdradę tajemnicy państwowej”. Na procesie odnosił się wrażliwie, że sędziowie zarzucają pułkownikowi nie tyle przestępstwo, ile nadmiar gorliwości. Sam Medaris robił wszystko, by uciąć łeb sprawie.

Do czasu zresztą, został bowiem przywołany do porządku; dano mu do zrozumienia, że sam może się także znaleźć przed sądem, jeżeli będzie występował w obronie swego podkomendnego. Zmienił więc front i ku zdumieniu sędziów złożył zeznania obciążające oskarżonego, który otrzymał wyrok niezbyt surowy. Gen. Medaris zaś za to, że był grzeczny, otrzymał trzecią gwiazdkę, a kamery telewizyjne zarezerwowały mu honorowe miejsce w momencie startu „Exploratora”.

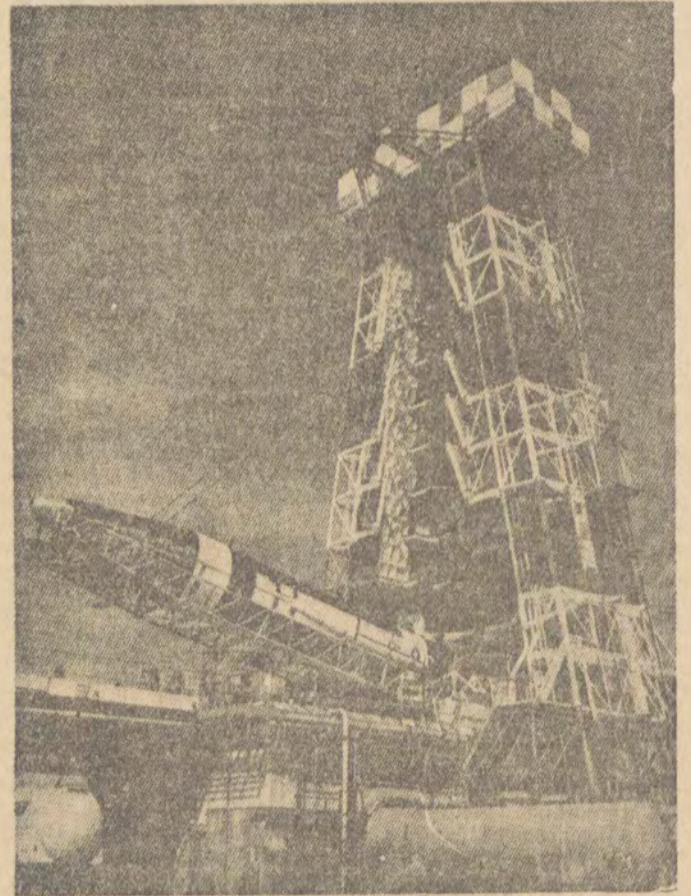
ILE ZAROBILI TRUSTY?

Radzieckie sputniki i lunetki uzmysłowiły przeciętnemu Amerykaninowi, jak daleko w tyle pozostały Stany Zjednoczone w dziedzinie badań kosmicznych. Ustępująca prasa tłumaczyła ten fakt rozbieżnościami koncepcji strategicznych w Pentagonie, konfliktami prestiżowymi między armią lądową

i lotnictwem, na własną rękę realizującymi program rakietowy. Nikt, rzecz jasna nie obwiniał samego ustroju. W ustroju kapitalistycznym walki między wielkimi monopolami, walki o zyski przesłaniają wszystko. Bardziej konkretne niż wojskowe spory o kompetencje, były potężne konflikty między trustami o ponętne kontakty Pentagonu — najpotężniejszego klienta prywatnego amerykańskiego przemysłu.

Trusty były się o zamówienie, o podział dywidendy z Kosmosu, do którego zdobycia było bardzo daleko. Płk Nickerson dostał po palcach za to, że powiedział głośno to, o czym wszyscy szepotali. Wystąpienie przeciw monopolom nie uchodzą bezkarnie. Gdy minister obrony Wilson odbierał kredyty na konstrukcję „Jupitery” i przywileje rezerwowal dla rakiety „Thor”, nie mógł nie wiedzieć, że jego właśnie firma „General Motors” otrzymała zamówienie na system zdalnie kierowany rakiety „Thor”.

Przykładów zakulisowych przetargów i ostrej konkurencji między monopolami nie trzeba daleko szukać. Ekonomiczne prawo imperializmu uczy, że w konkurencyjnej walce zwycięża silniejszy. W pierwszych trzech latach rządów Eisenhowera suma zamówień przydzielanych przez Pentagon mniejszym firmom spadła z 25 na 19 proc. W 1951—56 dziesięciu rekinów zagarnęło jedną trzecią wszystkich kontraktów woj-



skowych, dzieląc między siebie bagatelkę 33.500 milionów dolarów! Nie najmniejszy łup przypadł w udziale, General Motors, które zainkasowało 6.874 milionów dolarów. Charles Wilson w czasie swego urzędowania w Pentagonie powierzył sprawę zakupów benzyny dla całej armii prezesowi „Standard Oil of New Jersey”, W. W. White'owi. Minister skarbu Humphrey, właściciel akcji M. A. Hanna Company, w czasie swego urzędowania powiększył pakiet tych akcji z 7 do 12,6 miliona dolarów.

Cóż liczna jest kategoria przemysłowców — polityków, którzy wleżą, że monopol, przez nich samych

reprezentowany, ma najlepsze kwalifikacje do wykonania planowanych realizacji.

d. c. n.



O CZYM OJCOWIE ZAPOMNIELI?

(Dalszy ciąg ze str. 1)

nego podwórka”. Wynikający stąd zarzut ewentualnego kumoterstwa odsyłam bez odpowiedzi.

Nakładem Wydawnictwa Łódzkiego ukazała się ostatnio powieść Teodora Goździkiewicza pt. „Sprawy Łuki Bakowicza”, która opowiada o chłopskich ruchach wojennych na terenie powiatu sieradzkiego w latach 1861—63. Powieść interesująca, dzieje zdymisjonowanego żołnierza Pawłowskiego pułku lejbwardii cara Mikołaja I rzucone na wieś sieradzka tchną „autentyzmem realiów”, „dużą ekspresją prawdziwych ludzkich przeżyć”. Wysuwam na czoło te pozycje, gdyż wydanie mi się ona godna uwagi z dwóch względów. Utało się mniemanie, dają temu wyraz niektóre przedstawiciele „oficjalnej” opinii, że twórczość pisarzy, mówimy na razie o produkcji książkowej, winno odbijać przede wszystkim współczesne życie, bieżące radości, troski, niepokoje, noce i dni dziesięciu bohaterów.

W tym punkcie dotykamy bardzo ciekawego zagadnienia aktualności lub nieaktualności książek. „Sprawy Łuki Bakowicza” jest powieścią historyczną, ale jest także powieścią o aktualnym wydźwięku, aktualność nie zasadza się tylko na wierności wydzieleniu „autentyzm realiów” wiąże się w powieści z określoną problematyką, istotą aktualności, jak słusznie wywodzi Morstinowa „leży gdzie

indziej niż w fotograficzno-reporterskim autentyzmie”. Leży tam, gdzie tkwi — i rodzi się — jej koncepcja. W problematyce.

„Uroczysko” Zbigniewa Nienackiego należy właśnie do kręgu tej literatury, której można zarzucić oddalenie od problematyki współczesnego dnia, niecierpliwy krytyk może z kolei zapytać, czy sprawy którymi pasjonują się bohaterowie „Uroczyska” są tak ważne dla dzisiejszych czasów, czy one charakteryzują w pełni epokę, w której żyjemy, może zadawać dziesiątki podobnych pytań, ale to tylko pozorne zarzuty. Nienacki idzie konsekwentnie po raz obranej drodze i w dalszym ciągu pisze powieści „współczesno-historyczne”, jak dotąd, na tym nie przegrywa. „Uroczysko”, którego autor jak zanotował Jasienica w „Twórczości”, napisał się sprawnością w operowaniu aż trzema sensacyjnymi wątkami, zachaczając o dzieje Tumu pod Łęczycą z jego starą kolegiatą, spotkało się z przychylnymi recenzjami, wyjąwszy zgryźliwą wypowiedź Jana Burego w „Ziemi Łęczyckiej”, chyba dla udokumentowania znanej prawdy o prorokach we własnej ojczyźnie. Ta powieść jest w równej mierze zbudowana z fikcji jak i z elementów autentycznego walory poznawcze fikcji nie są mniejsze, niż tak zwanej dokumentacji rzeczowej. W innej powieści, „Worek Judaszów”, przerebioną ostatnio na scenariusz filmowy, ten sam autor bierze na warsztat walkę z podziemiem politycznym w pierwszych latach po wojnie. Terenem akcji jest województwo łódzkie.

Pokrewne „historyczne”, zainteresowania przejawia Edward Szuster, który w „O-

powieści o zmarnowanym entuzjastzie”, oraz w „Leśnych” opisuje trudne lata wojenne, daje próbę rozrachunku sumienia młodocznego pokolenia Polaków uwikłanego w konflikty ideologiczne i polityczne. W przypadku „Opowieści o zmarnowanym entuzjastzie” mamy do czynienia niemal ze spowiedzią autora, który buduje swoją książkę na rzeczywistych faktach, autentycznych postaciach i miejscowościach. Czy ta autentyczna relacja z naszego terenu ukazuje pełniej prawdę o czasie okupacji niż fikcyjna opowieść zawarta w „Leśnych” to pytanie, które można przy okazji zasygnalizować.

Wiesław Jażdżyński (jego powieść „Okolica starszego kolegi” była drukowana w „Ogłosach”), powieść lada dzień ma się ukazać na polkach księgarskich, jej tematyka zresztą jest związana z innym rejonem, z Kielecczyną, nas w tej chwili obchodzą rzeczy wyłącznie „łódzkie”, nie będziemy więc teraz o niej pisać, podobnie jak o innych książkach pisarzy wymienionych wyżej (i niżej) należy do tych, którzy nie czekają aż się „przedmiot świeży, jak figa ucukruje, jak tytoń uleży”, chwytają życie na gorąco, natychmiast reagują na jego przejawy, wystarczy sięgnąć po czasopisma łódzkie, posłuchać radia. W ciągu ubiegłych lat reportaży zajął szczególne miejsce w naszym życiu literackim i społecznym, nie mówimy w tej chwili o jego słabościach, przypominam, mówimy o zainteresowaniach pisarzy. W „Nauczycielach na wsi” dedykowanych nauczycielom naszego terenu i „W powiatowej Polsce” Jażdżyński zajmują się powin-

cją, przejawami życia na gluchoj wsi, zabitym miasteczku, interesuje się szkolnictwem i wychowaniem, oczywiście te dwa zbiory nie wyczerpują całokształtu twórczości publicystycznej i reporterskiej Jażdżyńskiego, poświęconej „terenowi”. W Wydawnictwie jest złożona książka „Umarli nie składają zeznań”, poświęcona tragicznym walkom z podziemiem na terenie województwa łódzkiego i Łodzi.

Skoro już wymieniamy pozycje książkowe przeto dla porządku notuję, że można by dodać jeszcze sporo innych nazwisk, m. in. pisać „o sobie samym” wbrew przyjętej zasadzie, towarzyszącej temu felietonowi, nie będę przypominał wiele na ten temat, zaznaczę tylko, że Wydawnictwo Łódzkie przygotowuje do druku tom reportaży niżej podpisanego „Zielony szlak” poświęcony problematyce ziemii łódzkiej i kieleckiej.

Nie wymieniam wszystkich nazwisk (niechże uczciwie zasłuże na zarzut kumoterstwa), nie porządkuję tematycznie, nie krytykuje, przyjdzie jeszcze na to pora, nie mówię o schorzeniach, o przekładaniu hasła propagandowych na „język obrazów artystycznych”, chcę tylko dowiedzieć że w Łodzi znajduje się zastęp publicystów i pisarzy, którym nie obojętna jest historia ziemii łódzkiej i jej aktualne sprawy. Trzeba by przecież poświęcić osobny rozdział zespołowi reportażyście „Głosu Robotniczego” (Holub, Piłichowski, Udalski, Zwierzcowska, Pogorzelec i inni), ci reportażyści podejmują nierazko poważne tematy, reportaży to nie panorama z jednym rekwiizytem na czele, a za n.m. jak z kolei nie słusznie powiada Morstinowa, plaskie, domalowane tło, to jest życie, reportażyści czerpie swój materiał nie

tylko z autentyku. Osobno trzeba by mówić o Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia i tutaj nazwiska J. Mozgi, W. Drygasa, M. Jeżewskiego, T. Szewery (który ma również za sobą wydane reportaże: „Kliny i miedze”, „Przed sądem gromady”), J. Smolagi, K. Zygmunta i in. Osobno o zespołach reportażyście w „Ogłosach”; osobno o redaktorach i współpracownikach pism terenowych przedtem, z ludźmi, z ich codziennym życiem musi wywierać wpływ na jego postawę, na ton ideowy jego wystąpienia i publikacji. Boć i on nie stoi od pióra. Strzelecki jest nie tylko organizatorem, lecz także ich uczestnikiem.

Wreszcie osobny rozdział — to działacze — pisarze. Podłódzkie drogi i szosy przemierzają latem i zimą, jesienią i wiosną pisarze, dziennikarze, przeciętnie dwadzieścia prelekcji dziennie organizuje w terenie Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, a poza TWP działają jeszcze Wydziały Kultury, Biblioteka Wojewódzka, Związek Literatów Polskich, Związek Nauczycielstwa, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, Związki Zawodowe. Prelegenci mówią o warsztacie pisarza, poruszają zagadnienia z historii literatury polskiej i obecnej, obrazują współczesne tendencje w kulturze, w sprawozdaniach pojawiają się nazwy wsi: Janiszewice, Braszewice, Warta, Szadek, Uników, Woźniki, wymieniają dla przykładu te miejscowości z sieradzkiego, które przodują w organizowaniu spotkań, pięćdziesiąt wsi można wymienić na poczekaniu, do których udają się pisarze, zawodowi prelegenci, recytatorzy, Łódź nawiązuje kontakt ze Słupskiem, Łęczycą ze Skwierzyną. Nie podaję cyfr, gdyż nie o nie w tej chwili chodzi, gdyby tylko na samych cyfrach się oprzeć, można by zbudować bardzo interesujące sprawozdanie i bardzo budujące.

W tej grupie pisarzy — działaczy trzeba, by umieścić wszystkie już cytowane na-

zwiska i dolożyć dziesięć razy tyle, od najbardziej znanych i popularnych, jak Piechala, Timofiejewa, Korprowskiego, W. Rymkiewicza do zupełnie nieznanych. Parę słów należy tutaj poświęcić Władysławowi Strzeleckiemu, bardzo ciekawemu przedstawicielowi tej grupy. Mówię o Strzeleckim, sekretarzu w Zarządzie Wojewódzkim TPPR. Ta praca, całkowicie związana z terenem, z ludźmi, z ich codziennym życiem musi wywierać wpływ na jego postawę, na ton ideowy jego wystąpienia i publikacji. Boć i on nie stoi od pióra. Strzelecki jest nie tylko organizatorem, lecz także ich uczestnikiem.

Przypominam, że nie mówię o wadach i potknięciach organizacyjnych, o potknięciach pisarzy, o których już wiele napisano, wiele napisano dobrego i złego, a nigdy w sposób wyczerpujący, i ja teraz nie kreślę pełnego obrazu, trudno jest to uczynić. Chodził przecież o to, aby pokazać stosunek dwu stron do siebie, słowa do rzeczywistości, pisarza do terenu, jak słowo pisane i mówione odbija i urabia tę rzeczywistość, wydaje mi się, że praktyka łódzkiej pisarzy i dziennikarzy, mówiąc skromnie, rokuje pewne nadzieje.

TADEUSZ PAPIER



POMRUKI MROKU

„ZASADZKA”
Z KOCIAKIEM

Była ich trójka. Przywdrowali na początku lipca do Łódzkiego z Katowic. Jak wielu im podobnych siedzieli na skraju rowu. Wacław bezwiednie obracał w dłoniach magiczną książeczkę „Autostop”.

— Abrakadabra — spełni się czarodziejskie zaklęcie, niech któryś z „władców kierownicy” zlituje się nad trojgiem głodnych żaków — żartował Mariusz, gryząc żdźbło trawy.

Głodni byli naprawdę. Już 4 godziny siedzieli nad rowem kilkanaście kilometrów za Łowiczem, gdzie wysadził ich jakiś szofer, skracający w boczną drogę. Przez te cztery godziny nie mogli w żaden sposób „złapać” samochodu w kierunku Sochaczewa.

Za zakrętem warknęła ciężarówka. Porwali plecaki i cudaczne kapelusze, Wacek podniósł do góry małą książeczkę z czerwonym kółkiem.

Szofer, nie zatrzymując

zwyczajów mokną, bo zafani szoferzy tutejszych stron nie uznają „Autostopu”, żądają forsy albo ciwartki.

— Ja już ich znam „smoluszków” — powiedziała Nina — miała ich właśnie następna ciężarówka. — Dziewczyne samą by zabrali; uśmiechają się przymianie.

— Gdy nie znają nowych, weźmy ich na stary „kawal” — zaproponował Mariusz. Zaczynał padać gęsty, zimny deszcz. Wyciągnęli spod namiotu i zarzucili go sobie na głowy. Nina namyślała się. Wreszcie jednym zdecydowanym ruchem zrzuciła bluzy, wyszła spod daszka.

— Wariatka. — zawyrokował Wacław.

— Cicho, muszę trochę zmoknąć — odparła. Potem odwróciła się do nich tyłem. Kładąc dłoń za gorset podciągnęła go wysoko, przypinając spod agrafką do dekoltu bluzki.

— A teraz? — Odwróciła się przodem, mierząc chłopców jednym z wielu niezawodnych spojrzeń. Wyjęła pomadkę do ust.

— Doskonale — przyklasnęli. — Aktorka powinnaś zostać po kiego licha było pchać się na pedagogikę..

plandeka, jechał pusty. Obok nich stała tylko niedomknięta trumna. Deszcz walił ogromny, niebo przecinały błyskawice. Jechali, trzymając w wyciągniętych do góry rękach spód namiotu, ramiona bolały.

— Siadźmy — wskazał Wacek trumnę.

— Phi, miałam lepsze propozycje — odparowała Nina, wskazała przez okienko na puste miejsce w szoferce.

— To sobie stój, a my siadźmy — upierał się Wacek.

— Daj spokój, rozwali się, widzisz, że nie domknęła — oponował Mariusz.

Wacek usiłował zamknąć wieko trumny.

Nagle usłyszeli histeryczny krzyk dziewczyny:

— Uciekajmy! Nieboszczyk przemówił!

GROTESKA O WŁOS OD TRAGEDII

Wojciech Grzesiak — rolnik ze wsi K. miał tego dnia więcej szczęścia w oczekiwaniu „na okazję”. Ale tak w ogóle to on nie miał szczęścia tego tyrona. W środę padł mu jedyny koń, a w czwartek umarł ojciec.

Z czwartku na piątek Grzesiakowie całą noc nie

wieko i przecierając oczy zapytał: — Do diaska, czy ten deszcz już przestał padać? W odpowiedzi usłyszał przeraźliwy krzyk kobiety.

„STAR” MAŁO NIE
WPADŁ DO ROWU

— W pewnym momencie, niedaleko Kozłowa Szlacheckiego — relacjonuje kierowca, usłyszałem krzyk. Przerażeni czymś autostopowicze wyskakiwali z samochodu. Na liczniku było 45 km na godzinę. Wylączyłem gaz i z całych sił nadepnałem na hamulce, o mało nie trafiłem do rowu. Ale było już za późno, wszyscy zdążyli wyskoczyć. Dziewczyna leżała na drodze i nie mogła się podnieść. Jeden z chłopaków także pojeździł, drugi uciekał jak „opętany”

Nie, nie byłem.

— Och, ta dzisiejsza młodzież — zaczęła starsza pani — jaka lekkomyślna! Wsiadać na taką ciężarówkę!

— A gdyby drzewo, na które wpadli, było grubsze? To straszne, gdy pomyślę, że mogłabym ją utracić..

— Drzewo???

A więc kłamała, nie ulegało wątpliwości, ale starsza pani nie pozwoliła mi zastanowić się nad sensem tego odkrycia, opowiadała dalej.

— Gdy byłem taką młodą dziewczyną, jak Nina, to bałam się sama chodzić wieczorem po ogrodzie. Za nic nie zgodziłabym się spać w lesie na gumowym materacu. Tłumaczyłam Ninie, jak dobra matka: — posłuchaj dziecko, a nuż któryś z twoich kole-

AUTOSTOPOWICZU PRZECZYTAJ!

nym momencie zachwiał jej równowagę psychiczną, mogło to się skończyć tragicznie — pomyślałem, zagnając się ze starszą panią.

Pierwsza część zagadki została rozszyfrowana. Pani Ninie w Borach Tucholskich z pewnością nie grozi niebezpieczeństwo wynikłe z podobnych okoliczności. „Na duchy” tym razem zostanie uodporniona na długo — jeśli nie na zawsze.

TO BYŁA MOJA
DZIEWCZYNA

P. Wacława K. zastaje w domu, z gipsem na nodze. Przeczy, jakoby się złął!

— Nina zaczęła przeraźliwie krzyknąć i wyskoczyła z ciężarówki, ja by ją ratować.., to była moja dziewczyna..

— A wasz trzeci kolega, po co skakał?

— On stał najbliższej trumny.. Człowiek, który z niej wyszedł, był błąd jak trup.. Wszystko przez tego durnego chłopca. Po kiego licha zachciało mu się wchodzić do trumny.. Zaskarżyliśmy go do Sądu o odszkodowanie..

— Nie wstydziliście się? — przerywam mojemu rozmówcy

..Zrobiliśmy to w złości..

— W złości? na kogo?

Młody chłopiec z gipsem na nodze nie odpowiada, ale dodaje: Napiszę do Niny list..

DWIE ŚMIERCI

Ostatnią zagadką w tej niesamowitej opowieści jest chłop z trumną. Ob. Grzesiak powtarza mi całą historię konia, ojca i trumny. Na jego twarzy nie widać akcentów ekscytowania się śmiercią.

Ot, stało się coś zwykłego, na co nie można poradzić, umarł stary ojciec: „Trza było pochować i pogodzić się z losem”, „Chłop-ska śmierć kosi cicho”.

— Ale co mu strzeliło do głowy żeby wejść do trumny?

— Panie, usprawiedliwił się mi — była przecież pusta padał tegi deszcz.. Nie wiedziałem, że te głuptaki..

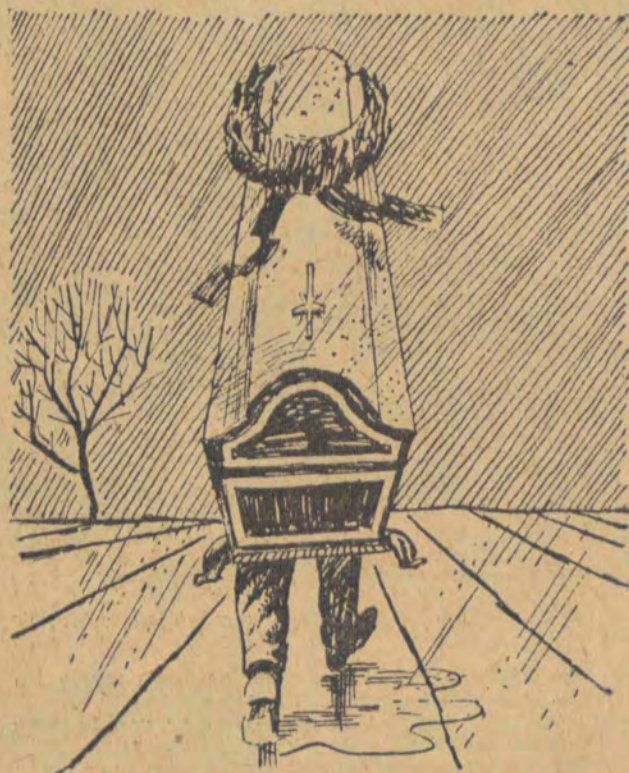
U podstaw tego absurdu-pnego pomysłu (przynajmniej dla średnio wrażliwego człowieka) leży przecież gdzieś jakaś żelazna — powiedzmy — logika, „pudło” było puste, padał deszcz.

Na tym kończy się groteska. Kończy się o przysłowiowy włos od tragedii.

PS. — Tuż przed oddaniem reportażu do druku autor otrzymał wiadomość, że poszkodowani wycofali skargę sądową (tak im doradził prawnik)

Może doszli do wniosku, że wszystkim zawinił deszcz? Być może poszli w swoich rozważaniach dalej — zrozumieli, że „nowi ludzie” mają w sobie więcej starych „drzazg” niż przypuszczają?

JP.



gów okaże się nieprzychylnie natarczywy, co zrobisz sama w lesie?

— A dam mu po buzi — Zaśmiała się.

— A jeśli mimo tego?

— Już ja sobie z nim poradzę. Jestem normalnie zbudowana, silna dziewczyna. Spotykałam już takich amatorów „kwaśnych jabłek” Mamusia przecież nie jest taka chyba naiwna, wie że jeśli ja sama nie zechcę — nic z tego nie będzie; nie ma cudów..

Ani jej było w głowie słuchać matki. Teraz, znów pojechała nad jeziora, powiedziała, że będą wędrować po Borach Tucholskich. Boże, ileż niebezpieczeństw czyha..

Snobuje się w nowoczesności, udaje odważną? — Pomyślałem o p Ninie S. Matka jej zaś opowiadała dalej:

— Dla mnie las miał zawsze tajemniczy urok. Z nim zawsze związane były różne dziwne rzeczy, o których nasłuchiwałam się na Podolu.

Raz np. jechałam z rodzicami bryczką po leśnej drodze Koło bagien konie zaczęły chrapać i stawać dęba. Woznica oświadczył, że zapada wieczer i on dalej już nie pojedzie, bo na bagnach ukazują się widma..

— I pani oczywiście te historie opowiadała córce?

— Ja raczej nie, Nina wychowywała się u babci..

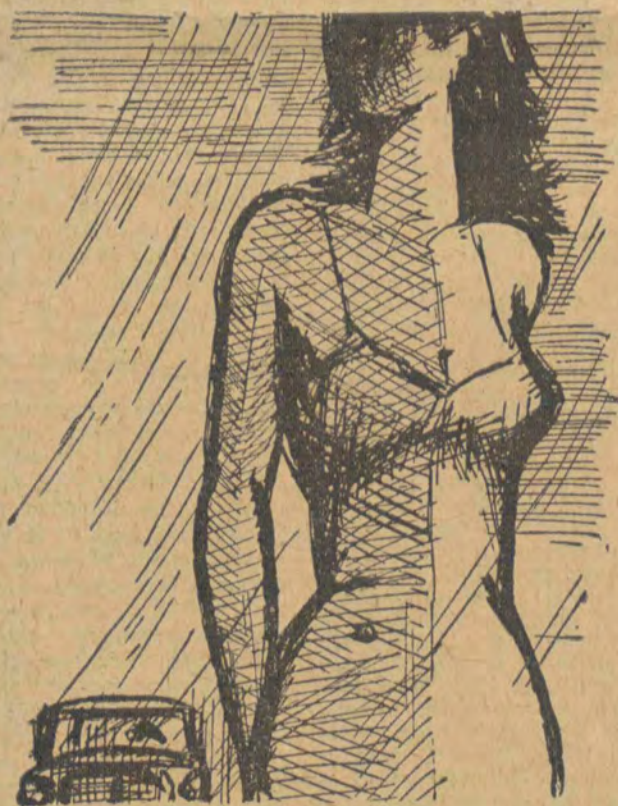
— Więc babcia?

— Pan czuje surowo nas osadza. Nina także zawsze wyśmiewała się z tych historii..

Ba, ale w niespodziewa-

JERZY PIŁICHOWSKI

„NIEBOSZCZYK” wstał o drugiej po południu...



się pokazał przez boczne okno 5 palców.

— Jedzie 5 kilometrów — odczytała Nina umowny szyfr szos roku 1960.

Zrezygnowani wrócili nad rów.

— „Kiwnął” nas chyba — ziewnęła Mariusz. — Gdyby tak pomachać „stówką” na pewno by się zatrzymał..

..albo nogą — dodał Wacek, uszczypnąwszy Ninę w udo. Dostawszy pięścią w plecy, aż zadudniło, parafrazował: — ot, widzicie, nowi ludzie nowych czasów i

Za małe pół godzinki na szosie zawarczał ciężko „Star”.

— Schowajcie się w żyto — krzyknęła.

Tym razem samochód przysłał. Kierowca szarmanckim ruchem otworzył drzwiczki, ale dziewczyna skreśliła na tył, z boku wypełzli chłopcy. Kierowca aż gwizdnął, ale że miał poczucie humoru, co się u młodych ludzi dość rzadko zdarza, zawołał: siadajcie szybko, bo nie mam czasu!

„Star” nie był przykryty

spali. Jak zwyczaj każe „pilnowali” nieboszczyka”. Gdy się rozwidniło gospodarz złapał okazjiny samochód i pojechał do Łowicza po trumnę. A że nie miał jej jak przywieźć poszedł na targ, nuż się ktoś znajomy z wozem trafił. Jak na złość nikt tego dnia nie przyjechał.

— Pojechali pewnie do Sochaczewa — mruknął i ją zapytywać obcych ludzi w którą jadą stronę. Znalazł wreszcie gospodarza, który jechał 10 km w jego stronę. Druga napotkana na drodze furgamka podwoziła Grzesiaka dalsze 7 kilometrów. Za darmo.

— Dzisiaj ciebie, jutro mnie może spotkać nieszczęście. Nikt się od śmierci nie wymiga. Dość masz wydatków. Czy ja ksiądz, żebym brał za fatygę? Zaczekaj sobie tu pod tą topolą, o okazję „na Sochaczew” łatwo..

Wtedy nadjechał znany już nam pusty „Star”. Kierowca zgodził się wzięć chłopca z trumną. Potem zaczął padać wiadomy nam już deszcz. Chłop podniósł wieko trumny, usiłując się nim osłonić. Kiedy to nie dawało skutków, gdyż deszcz przeszedł w ulewę i rozpetęła się burza — ułożył się na białych wiórach wewnątrz trumny i nasunął nie domykając wieko. Teraz dopiero odezwała się w nim nieprzespana noc, przypomniał sobie mdły zapach palonych świec i zasnął.

Obudziła go rozmowa, autostopowiczów, uniósł więc

przez kartofliśka, nie oglądając się za siebie.

Chłop, którego z trumny wiozłem już jakieś 15 kilometrów stał, zbieleły z przerażenia na samochodzie i krzychał do młodzików: — Głuptaki, przecież ja żaden nieboszczyk!

Dziewczynę i chłopaka dowiozłem do stacji Pogotowia Ratunkowego. Co się stało z drugim chłopakiem nie wiem, gdzieś uciekł.

Orzeczenia lekarskie stwierdzają: Janina S., studentka lat 20 zam. Katowice, uszkodzenie stawu kolennego lewej nogi, ogólne potłuczenie. Stan psychiczny bez zmian. Wacław K., zawód student lat 22 zam. Katowice. Złamanie nogi poniżej kolana, potłuczenie.

Ogledziny lekarskie potwierdziły fakty, ale to reporterowi nie wystarczy. Przyczyny tej autostopowej groteski są bardziej skomplikowane. Ślady, jeszcze ciepłe, prowadzą do Katowic.

Z WIZYTA U STARSZEJ PANI

— To pan nie wie — zagadnęła mnie starsza pani na Brynowie, że Nina wyjechała na obóz studencki?

— A jak kolano?

— To pan słyszał już o tym wypadku?

— Tak..

— A może i pan był wtedy z nimi razem?



TEN DRUGI ŚWIAT

„CZŁOWIEK HOLDUJE CHĘTNIEJ DOBRU NIŻ ZŁU. ALE WARUNKI NIE SPRZYJAJĄ MU”.

BERTOLD BRECHT

Zapytałem: — Czy można? — I usiadłem na pryczy. W „pojedynce” nie było żadnego zapachu, nic, do czego człowiek może uciec, sprzęty te same najniezbędniejsze, skoplowane z innych cel, wjeździe się podniósł, stał w kacie, wrogi, niemy. Potem się zbliżył na chwilę, położył na pryczy książkę, znowu stanął obcy, odległy, wpisany w dwie zbiegające się ściany. Strażnik powiedział: — Pan przyszedł z tobą pomóc. — Zamknął drzwi, był srodek lata.

Mówiłem, mówiłem jak duren to samo w kółko: — Przyszedłem z panem porozmawiać. — Wyciągnąłem papierosa, nie poruszył się. Byłem już zdecydowany, straciłem książkę. Trzasnęła jakaś krótka, otworzyła się, nastroszona, na białej podłodze celi wyglądała jak spętany ptak. Skurczył się, osiadł potem znowu wyprostował, coś w nim trzasnęło, runęło. Tą książką był „Wrzesień” Putramenta, więzień ją podniósł zobaczyłem twarz ospałą piegami. Mówił. Miał mocne, męskie usta.

— Byłem sam, prowadzi całe życie byłem sam. Wychowałem się w zakonie w sierocińcu, rano do szkoły, po południu książka do nabożeństwa.

Kiedy wreszcie przyjął papierosa, byliśmy pojednani. Domagał się, żebym mu pokazał jasne strony życia, był ode mnie starszy, tydzień i całą samotność. Nigdy w życiu nie miał dziewczyny, powtarzał: — Bo gdybym miał dziewczynę — mówił: — Bo gdybym się chował w domu dziecka, państwowym domu dziecka...

Już nie pamięta, jak poznał tamtego rówieśnika. Nie chce o nim w ogóle pamiętać, nie ma żalu, ale nie chce pamiętać. Tamten był mocny, był bezczelny, mówił: — Bo zrozum Longin, co ty masz z życia. — Krzyczał na niego, pytał co ma z życia. Miał życie w bursie, stypendium dwadzieścia złotych, naukę w Technikum Górniczym, wspólny pokój z obcymi ludźmi, którzy jeździli do domu na święta, którzy otrzypywali listy, którzy pisali listy, listy, dużo białych listów.

— Miałem przyjaciela, pierwszy raz miałem kogoś na własność. Przyjaciel powiedział: — Nie bój się Longin, ty się tylko nie bój, zobaczysz inny świat.

Wyszli nocą, spółdzielnia była niedaleko bursy, codzień kupował tam bułki. Zabrali dżem, papierosa, czekolady, spirytus. W więzieniu śledczym miał narzeczcie do kogo pisać, pisał do sądu.

— Ja panu powiem, co jeszcze nie mówiłem nikomu, tego drugiego świata nie ma. Tamten drugi świat jest tutaj. Oni wszyscy się ludzą, mówią, zobaczysz inny świat. Ten drugi świat to mur, cęła, korytarz, osiemnaście miesięcy.

Zostawiłem mu adres, prosiłem, żeby napisał. Kiedy się podnosiłem, uciekł znowu do tego rogu, odwrócił się do ściany, płakał.

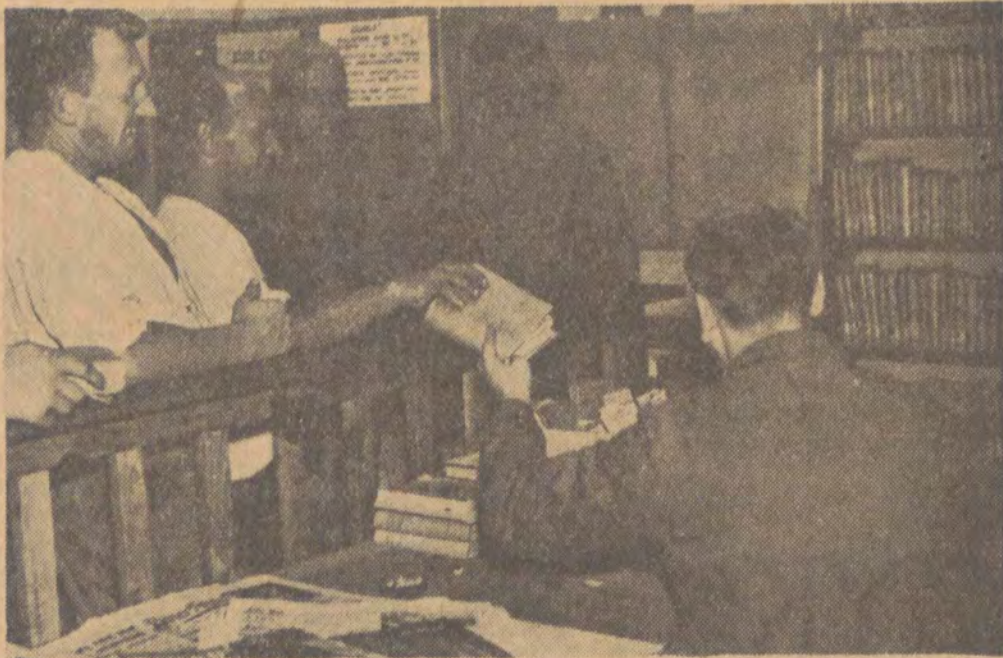
Ten drugi świat widać w miasteczku, gdzie by się nie stało. Samo miasteczko jest zresztą ani małe, ani ciekawe. Jest sennie, tą pogodną sennością już nie tyle Polski powiatowej, co Polski gromadzkiej. Jedyne na głównej ulicy szlachetna zapobiegliwość miejscowych patriotów znalazła swój wy-

wszystko widzieli, nie już zaskoczył nie może.

— A wypuścił mnie pan polem?

Na dziedzińcu wewnętrznym przed budynkiem administracji terkocze traktor, pykanie motoru monotonne i niezmiennie użyna odchodzące sekundy. Twarz strażnika jest wilgotna, mżyło od

został zegar na dawnym budynku sztabu, gdzie obecnie mieści się biblioteka i dyskusyjny Klub Młodego Czytelnika. Mechanizm zegara popsuty, wskazówki nieruchome, nie słychać radosnego tykania. Czas się zatrzymał, czas stalowego mechanizmu. A czy dla ludzi? Chodzą po podwórzu, spacer.



Wymiana książek w bibliotece

raz jako symptom nowego; skromne jak licealista neony dom towarowy, dom kultury. Oddajmy sprawiedliwość — nad brzegiem jeziora stoi karczma mleczna tak skomponowana, że chciałoby się wsiąść, płynąć. Cała budowla składa się z masztów i żaglowego płótna. Jest też w Hawie solidna przystań, żagłówek, kajaki. W nadbrzeżnej kawiarni tęskna twarz paniątki „od expressu”. Z jeziora chłód.

Trzeba iść „durch nad jezioro”, tedy najbliższe. Drogę pokaże każdy, dla większości mieszkańców ten drugi świat stanowi chleb, decyzje o egzystencji. Ich stosunek do zamkniętych jest jednoznaczny, są łagodni, pobłażliwi, niemal przychylni. Fakt nie bez znaczenia — w zakładzie karnym połowa niemal ludności miasteczka znalazła pracę. Tutaj poza nim tylko tartaki i woda. Ale ów fakt ma również swoją niedobrą wymowę. Praca w więzieniu wymaga szczególnie społecznej podejścia. Ograniczoną wyboru źródeł egzystencji w mieście spowodowała, że w zakładzie karnym pracują ludzie, którzy niekoniecznie chcieliby mieć do czynienia z więzieniem.

Stromy zewnętrzny mur, strażnik na zwycze, bezruch i czujność, widomy znak, za tą zastoną z cegły dokonują się jakieś skomplikowane procesy, wyteżona uwaga i cierpliwość zrosły się z tymi murami nierozdzielnie. Ale bladeść, banalność tynku sygnalizuje na pierwszy rzut oka swoją pozorność. Bo tu jest centrum, tutaj najłatwiej dostrzec skomplikowane antynomie międzyludzkich stosunków. Po jednej stronie muru, tej od miasta — chleb, druga strona na razle niema.

Otwarcie furty poprzedzają charakterystyczne i tak dobrze znane wszystkim, którzy się z więzieniem zetknęli kiedykolwiek choćby na chwilę, krok bramowego. Twarz funkcjonariusza w szparze do podglądania za wiera niezmiennie — czujność pod maską obojętności. Może to zmechanizowanie się dwadzieścia godzin. Ale specyfika miejsca pozostawia piętno na zawsze. Ciągłe oglądanie najskrajniejszej nędzy ludzkiego bytu musi zostawić ślad. Obojętność wżyna się w naturalne rysy twarzy. Ludzi, którzy

rana, na bruk patrzę lśniący i śliski.

— Jak się pan będzie dobrze sprawował...

Trzeba coś zrobić, mówić, mówić przede wszystkim, choćby ten nieudolny żart. Pokryć zmieszanie na mokrym podwórzu za zamkniętą furką więzienia.

Bo jestem już spokojny, kiedy przynoszą na górę kawę w emalowanym wiadrze. Pali się reflektor, kroki przy furcie.

Z okna pierwszego piętra moje oczy krótkowidza dostrzegają śnieg. Jest początek lipca. Ciepła noc. Kiedy rozwidnia się zupełnie, widzę mur. Od strony wewnętrznej wymalowany białym wapnem. Umysł człowieka wolnego, który przyjechał do więzienia na kilka dni, pracuje jednoznacznie. Świadomość miejsca mrozi. Nie jestem prawdziwie wolny, cały mózg, serce, zmysły krążą jak astral wokół jednego — ten drugi świat jest początkiem i końcem, jest osią wszystkich.

Ci, których jeszcze nie widziałem a, których czuję za murami czerwonych pawilonów, mogliby triumfować. To miejsce poprzedzane niewidzialnymi granicami, miejsce, w którym dokonują się ciągle podziały, narastają dystanse, miejsce przecięte rzeczywistymi płotami, drutami, alejami za które wyjść nie można — łączymy. Nie wiedząc o mnie, narzucają mi swoją obecność.

Oni siedzą w czerwonych pawilonach. Tynku nie ma, kiedyś były tutaj koszarzy, stąd armia von Paulusa ruszyła na Stalingrad. Pozostali z tamtych dni betonowa żłoby w stajniach zmienionych teraz na magazyny, po-

Nieruchomieją nagle, zadzierają głowy, patrzą pogardliwie na milczące wskazówki.

Bo istnieje przekleństwo: „Zebys zgnil w więzieniu”. To przekleństwo straciło na szczęście całą swoją drapieżność, ale przypomina o historii. Słowo „cela” pochodzi, jak podaje prof. Siłowski, bezpośrednio od celi klasztornej. Dla więźnia ta cała etymologia byłaby obojętna. Ale teologiczny sposób myślenia zaciążył na całym pierwotnym więziennictwie, uczynił z miejsca odbywania kary, miejsce zbrodni. Zbrodnia była całkowita, prawo i religia stały na straży. Człowiek gnął na brudnej ścianie, w lochu pozbawionym światła, z głodu, brudu, chorób. Ciało toczyły wrzody, wilgoć i chłód, od wewnątrz samotność. W systemie celkowym skazywano więźnia na bezruch, na ciągłą kontemplację, stawiano miskę, mówiono jedz, miska była całym światem, jedynym ogniwem realnego świata. Bo strażnik nie, to był manekin milczał, nie mógł odpowiadać na pytania, tracił zaraz pracę. W tych warunkach ludzie wariowali masowo.

Niedługo potem wolny świat okazał się cyniczny okazywał, pełniej. Bo nie wiara w poprawę człowieka, odmieniła los więźnia. Ci, którzy zamykali w imię Chrystusa, dla oczyszczenia z grzechów, uważali, że człowieka łatwiej jest zabić niż zmienić. To najbrudniejszy komercjalizm był aktem nieuzasadnionego okazywania. Więzienia kosztowały, skazani mieli ręce, mięśnie, mogli pracować. Pozwolono im na siebie patrzeć, pracowali wspólnie. Ale było tak, jak-



Rozgrywki w piłkę siatkową

by siedzieli w pojedynczych celach ze szklanymi ścianami. Musieli milczeć. I to, stokroć okrutniejsze od samotności w celi, uchyliła ekonomia, żadne ludzkie względy nigdy pod uwagę brane nie były. Po prostu praca okazała się mało wydajna. Tak doszło do systemu wspólności. Zakaz milczenia zniesiono. Potem zaniedbano obłudy, potem chodzilo po prostu o mięśnie, o darmową pracę. Ludzi nieoszczędzonych, ludzi z domniemanem niewinności, zamknięto w jednej celi z mordercami, degeneratami, żywi, czujący ludzie siedzieli z ludzkim ścierwem. Gnieciszło od wewnątrz, najodporniejsi psychicznie padali ofiarą. W takiej celi przebywał krótko, Miquel Cervantes, autor Don Kichota. System wspólności był systemem moralnej zagłady.

Jestem otrząskany z podręcznikową wiedzą, czujny, nieufny, a przecież mnie zaskakują. Idą, szmer jednostajny, natrętny ich wyprzedza, stukają drewniane do-deszwy, włoką się za tym szmerem, mam czas się przygotować, a potem milczę. Bo nie chodzi o stado, że są jednakowi w tych przepocznosciach mundurach, że anonimowi, twarze przy pierwszym spotkaniu nie mówią nic. Bo nie chodzi o to, że uniżeni, biorą mnie za kogoś z sądu czy prokuratury, za kogoś, kto może im otworzyć bramę, wypuścić na „warunkowe”.

Skazany przez cały czas pobytu tutaj na myśl o nich, czuję się obcy, inny, czuję się inaczej. Odgradzam się, człowiek z drugiej strony muru, tej od jeziora. Z miną cwaniacką, z miną jak oni kiedyś taksują ich z wyższością. Zachowuję się jak urzędnik, który etatowo roztrząsa sumienia według swego uznania. Rzecz niegodna humanisty, mszczę się za zaskoczenie wypatrzyć śladów oczyszczenia na ich twarzach. Piętna myślenia teologicznego, piętna eschatologii wyżyć się zresztą zupełnie nie można. Zawsze chodzi o dwa rachunki, po obu stronach muru. Ta świecka instytucja najbardziej ze wszystkich ukształtowana jest na wzór religijny. Przez lata pobytu tutaj oba rachunki mają się wyrównać. Bilans dokonujący się w świadomości, bilans nominalnie związany z matematyką, jest obojętnym moralnym, jest natrętną, więzienną obsesją. Kierownik działu ochrony, w randze kapitana, na swój sposób rozmowny, oprowadza mnie po wszelkich zakątkach więzienia. Kiedy mijamy „pensjonariuszy” (sami siebie nazywają pensjonariuszami) zdejmują z głowy fu-rażerki, potuszają ustami.

— Ja tutaj za straszaka jestem, ale nigdy nie interesuję się ich przeszłością, żeby nie krzywdzić, żeby uniknąć uprzedzeń.

Potem jest tak ze mną, potem przełamuję ten dystans, chcę wejść w nich, chcę ich podejść od środka. Nie chcę krzywdzić, chcę rozumieć. Ten, który u mnie sprząta, ma włosy lekko rude. Siedzę na łóżku, żelazne łóżko z siatką. — Przepraszam — mówię — przepraszam, że się panu przyglądam.

Jest podobny do chłopaka sąsiadów, który kiedyś się upił i wytłukł wystawowe okno.

Podnosi mój krawat, wiesz na krześle, częstuje go papierosem. Patrzy na mnie uważnie.

— Ja przyzwyczajony, że tutaj patrzają. Tutaj, proszę pana, wszyscy patrzą, tutaj człowiek nie jest nigdy dosyć sam.

— Mówi bezbarwnie, monotonna, bez żalu, bez rezygnacji. Sam i nigdy dosyć sam. Ale uprzedza myśli.

— Bo pan chce wiedzieć, za co ja siedzę. Przecież ja wiem. To ja panu powiem, za niewinność siedzę.

Ten chłopak dwudziestoletni, rówieśnik niemal, sam dystans narzucił. Ile godności w tym: „to ja panu powiem”.

— Ja proszę pana za tort siedzę my tutaj wszyscy mó-

wimy, że za niewinność, ale ja za tort. Przez to, że u przywaciara robiłem w Lublinie, jak pan chce wiedzieć, ale płacił mało, a praca to przecież, wie pan, jaka. Znajomy powiedział, tort zrób na lewo. Zrobiłem po godzinach. Jak on potem z pryncypałem wypił to się zaczęły ścisnąć i na mnie powiedział. Ja bym tam u niego nie robił za te grosze, bo pies był, ale do spółdzielni ni jak się dostać nie mogłem, zresztą on miał córkę...

Chcę się upewnić, pytam o wiek, potwierdza, pytam, czy slyszal o Londynie, nie slyszal. Piętnastoletni London marzył o małżeństwie z córką pryncypała i pół darmo wykonywał pracę dwóch dorosłych mężczyzn. Dwudziestoletni chłopak w pół wieku później rozumuje tymi samymi kategoriami.

Chodzę codziennie, rozmawiam z nimi codziennie, co dzień mnie zaskakują. Wszyscy nieomal rówieśnikami, ale złudzenia, że dzięki temu dystans tym łatwiej przelaminie, pozbyłem się dawno. Sami narzucają rygory.

— Starych to tutaj jest paru, wie pan, ogrodników się zdaje. Ale oni są za murem, robią w gospodarstwie. Oni są starzy i nie mają gdzie pójść. Mieszkają tam bez straży.

Tajemnica że mam ciągle do czynienia z rówieśnikami, jest prosta, każdy zakład karny ma swój profil, ma określony typ wychowanków. Sam proces segregacji, który rozpoczyna się już w „śledczaku” jest aktem ciągłego poznawania. W oddziałach obserwacyjno-rozdzielczych przez trzy miesiące pracuje nad nimi psycholog. Przyjmują to z obojętnością, chłodem. To mówi każdy z nich: najgorzej jest w „śledczaku”, najgorzej na „kwarantannie”. Bo zachowują dumę, specyficzną godność, proces segregacji jest z natury rzeczy aktem ciągłego wyróżniania jednych, poniżania drugich. To gorsze od przewodu sądowego, tam był adwokat, akt oskarżenia, świadkowie, wyrok. Sąd ich skazuje, sąd wydaje wyrok. Społeczeństwo ich potępia, przestaje się interesować, ciekawscy idą do domu i jedzą kolację, mury więzienia są szczelne. A ich los, ich byt najkonkretniejszy, ja-kosć bytu waży się w więzieniu, jest nowy przewód sądowy, umowny, nieuchwytny wewnętrznie, pozbawiony wszystkich formalności. Ale dokuczliwy, mają tego świadomość. Wina jest dowiedziona, kara orzeczona, teraz wszystko od nowa. To wszystko przypomina o czynieniu, jest konfrontacją, jest odplatą. Zewnętrznie chodzi o prognozę charakterologiczną i rewaloryzacyjną, młodociani łączeni są z młodocianymi recydywistami z recydywistami, psychopaci... charakteropaci... karani pierwszy raz... zawodowi...

Opinie pedagogów i psychologów dołączane do akt, są drugim skazaniem. Odpowiadają nie za czyn, odpowiadają za swój charakter, że są tacy, jacy są. Krzywdzi ich własna wina, narasta, pęcznieje. Wszystkie zabiegi obserwacyjne mają na celu ustalenie jej kształtu.

Po południu obserwowałem jednego z więźniów. Chodził alejką razem z innymi, była pora spaceru. Istnieje obowiązek chodzenia, gdyby nie zwykły i strażnicy, myślałbyś, że to dzieci szkolne. Chodzą parami. Ale jeden z nich odwracał uparcie głowę, wciągał nozdrzami powietrze, głęboko oddychał. To mi przypomniało istotę więzienia. W gorącym cieple ten człowiek szukał podmuchu jeziora.

WŁADYSŁAW
ORŁOWSKI

West END- czerwiec 1960

West End, londyńska dzielnica teatralna, przeżyła w ostatnim sezonie wiele wstrząsów. Czternaście premier, przygotowanych z dużą starannością i poważnym nakładem kosztów, położyło się mimo bombowej kampanii reklamowej. W gazetach sporo było na ten temat dyskusji i prób ustalenia przyczyn. Nie udało się wszakże dojść do jednolitych wniosków. Do powszechnego przekonania nie trafił tak nadużywany i u nas argument o zabójczym wpływie telewizji. Nie trafił z tej prostej przyczyny, że na tymże West Endzie niektóre spektakle cieszą się niezmiennym powodzeniem. Od przeszło dwóch lat grana jest przy bitych kompletach publiczności komedia muzyczna „My Fair Lady”, a od prawie dwóch lat — dramat muzyczny (nie znajdujący właściwego określenia) „West Side Story”.

Mając do dyspozycji zaledwie trzy wolne wieczory w Londynie, dwa z nich postanowiliśmy poświęcić tym właśnie spektaklom, by zgłębić tajemnicę ich powodzenia. Wybór sztuki na trzeci wieczór był trudniejszy, zwłaszcza, że teatrów zlokalizowanych na West Endzie jest ponad czterdzieści. Odrzuciwszy po namyśle jakąś nieciekawą komedię z arcy-ciekawym Alecem Guinnessem i „Pygmaliona” z Sarą Churchill — awanturniczą córką wielkiego Winstona — w roli Elizy Doolittle, zdecydowaliśmy się wreszcie na „Nosorożca” Ionesco. (Nie tyle dla walorów, ile dla reżyserii samego Orsona Wellesa i dla gry samego Laurence'a Oliviera.

Na wstępie „West Side Story”. Ciekawy konglomerat dramatu, opery i baletu. Pisano o tym przedstawieniu tu i ówdzie w polskiej prasie, ale godzi się chyba przypomnieć kilka szczegółów. Akcja sztuki jest współczesną opowieścią o Romeo i Julii. West Side, to robotnicza dzielnica Nowego Jorku. Na tym właśnie przedmieściu działają dwa skłócone gangi młodych chuliganów. Przyczyny konfliktu leżą w tym, że jedna banda składa się z rdzennych nowojorkczyków, a druga z elementu napływowego, mia-



nowicie z Portorykańczyków. Różnice narodowościowe, językowe i obyczajowe stają się źródłem prawdziwej nienawiści, konkretniej uzasadnionej niż trochę, powiedzmy sobie, umowny spór Montekich i Kapuletów w dramacie Szekspira. Na tym niesprzyjającym tle zakwita miłość między przyjaciелеm szefa amerykańskiego gangu — Tonym i siostrą przywódcy Portorykańczyków — Marią. Uczucie to prowadzi nieuchronnie do krwawej tragedii, w której wyniku zabity zostaje Tony, uprzednio mimowolny zabójca brata ukochanej. Maria, w przeciwieństwie do szekspirowskiej Julii, nie ginie i w ostatniej scenie idzie z rozdartym sercem za włokami kochanka.

Nie treść „West Side Story” jest jednak ważna, lecz właśnie splecenie spektaklu z równorzędnych i współgrających elementów dramatu, tańca i muzyki. Twórcą takiego przedstawienia nie mógł być jeden człowiek. Autorów jest czterech: Jerome Robbins — pomysłodawca, twórca choreografii, i reżyser całości, Leonard Bernstein — kompozytor muzyki, Arthur Laurents — autor libretta i Stephen Sondheim — autor tekstów piosenek.

„West Side Story” wystawiono po raz pierwszy na Broadwayu w 1958 roku, po czym cały zespół amerykański przeniósł się z tym spektaklem za ocean, do londyńskiego Teatru Jej Królewskiej Mości (Her Majesty's Theatre) przy ulicy Haymarket. Premiera londyńska odbyła się 12 grudnia 1958 roku i od tamtej pory sztuka grana jest co wieczór przy wypełnionej po brzegi sali.

Od momentu kiedy po wysłuchaniu przez publiczność — zgodnie ze zwyczajem panującym we wszystkich teatrach państwowych — hymnu „God save the Queen” kurtyna idzie w górę, odzyskuje się, że na scenie dzie-

je się „coś innego”, niż zwykliśmy oglądać w teatrze. Przedstawienie jest pozornie niejednolite w konwencji. Opera, balet i dramat na zmianę stają się dominantą. A przecież mimo to widowisko jest płynne i jednorodne w stylu. Wspólnym mianownikiem staje się bowiem poetyckość, której podporządkowane są wszystkie formy teatralne. Umowność tanecznych ewolucji i pieśni, poprzez które bohaterowie ujawniają swoje uczucia, tkwi przy tym w realizmie obyczajowym i folklorystycznym. Z bogactwa wrażeń na plan pierwszy wysuwa się

mego Shawa. Musi więc być dobrym aktorem, ale po obejrzeniu „My Fair Lady” trzeba przyjąć to tylko „na wiarę”. Pewną nienaturalność i koturnowość tego aktora równoważy James Hayter w roli Alfreda Doolittle i Tonia Lee jako Eliza. Sceny rozgrywane się na przedmieściu w środowisku „cockneyów” są barwniejsze i o wiele ciekawsze od tych „z wyższych sfer towarzyskich”. Wyjątek stanowi inscenizacja piosenki „Gawrot w Ascot”. Kilkanaście par tańczy i śpiewa o tym, jaką to znakomitą rozrywką są wyścigi konne w Ascot.



chyba muzyka. Nowoczesna, ściśle zespółona z wątkiem dramatycznym sztuki, organizująca nastrój w zależności od toku wydarzeń. W opracowaniu choreograficznym znacząca jest majstra, ale i opanowanie tańca przez młodych aktorów jest wręcz znakomite.

Przyczyną powodzenia „West Side Story”? Tkwią chyba właśnie w odrębności stylu. Spektakl działa odświeżająco, choć nie niesie w sobie głębszych treści intelektualnych.

Zupełnie innych wrażeń doznałem w Teatrze Królewskim (Theatre Royal) przy ulicy Drury Lane na przedstawieniu „My Fair Lady” (Moja piękna pani) — przeróbki na komedię muzyczną „Pygmaliona” G. B. Shawa. Jest to spektakl skomplikowany technicznie. Osiemnaście razy zmieniają się dekoracje, przy czym znakomite urządzenia zaszereżone pozwalają dokonywać tego na oczach widzów i to wręcz błyskawicznie. Muzyka Fredericka Loewe jest melodyjna, piosenki z gatunku „wpadających w ucho”. Nie dziwnego, że nuci je cały Londyn, a płyty z nagraniami ich są rozchwytywane.

Wydało mi się, że właśnie muzyka zdecydowała o powodzeniu przedstawienia. Dowcipny dialog Shawa lepiej chyba brzmi w teatrze dramatycznym i mam poważne wątpliwości, czy „Pygmalion” stanowi najlepsze libretto dla operetki. Odczuwa to, zdaje się, wykonawca roli Higginsa — Alec Clunes, który nienajlepiej czuje się w konwencji operetkowej. Grał on tę rolę w 1947 r. w teatrze dramatycznym na życzenie sa-

znudzone miny i leniwe ruchy rąk uzbrojonych w lornetki świadczą o czymś wręcz przeciwnym. Scena ta pełna jest subtelnej satyry na londyński high life.

Jeszcze parę tylko słów o „Nosorożcu” Ionesco. Sztuka nie należy do najlepszych utworów znanego i modnego autora. Daje ona jednak znakomitą aktorowi Laurence'owi Olivier okazję do stworzenia w głównej roli Berangera pięknej kreacji. Mówi się, że sir Laurence zagrał tę rolę po chaplinowsku. Chyba to jest określenie trafne. Sylwetka Berangera w jego wykonaniu stanowi jakiś protest szarego, prostego człowieka przeciwko wszelkim formom ucisku i gwałtu zadawanego jednostce. Po zakończonym przedstawieniu co wieczór kilkadziesiąt osób grupuje się na ulicy przy wyjściu dla aktorów, by zgotować Olivierowi owację.

Tyle impresji z trzech wieczorów teatralnych w Londynie. Zbyt mało miałem obserwacji, by wyciągnąć jakiekolwiek wnioski. Nie mogę tylko powstrzymać się od jednej uwagi. We wszystkich trzech głównych spektaklach dekoracje były z gatunku dosłownych, bez smaczków i uduwnień. Mam wrażenie, że żaden z naszych teatrów nie odważyłby się zagrać w takiej prawie plastycznej, by nie być pomówionym o zły smak. Zestawiam z tym nazwiska Jereme Robbinsa, Orsona Wellesa, Oliviera i jakoś trudno mi je połączyć z pojęciem złego smaku. A może to u nas w poglądach na nowoczesną sztukę jest trochę przesady?

Zdjęcia z dramatu muzycznego „West Side Story”

SEDNO
RZECZY

MARIAN PIECHAL

Technika i sztuka

Od zarania swego istnienia zarówno technika jak sztuka związane były ze sobą nierozdzielnie i wzajemnie. Pewne działy techniki wymagają biegłości i precyzji niemal identycznej z mistrzostwem artystycznym, zaś istotą pewnych działów sztuki, jak muzyka, malarstwo, rzeźba czy taniec, wydaje się być sama sprawność techniczna. I technika i sztuka z założeń swoich służą człowiekowi, a więc niejako z natury rzeczy są zjawiskami humanistycznymi — skąd więc ten konflikt w ostatnich czasach między techniką a humanistyką? Jeżeli technika służy człowiekowi, to z jakiej racji sztuka rości sobie pretensje do jedynego reprezentacji wartości humanistycznych? Skąd ten znak równania między sztuką a humanistyką?

Trzeba przyznać, że technika pod tym względem jest bardziej skromna od sztuki, gdyż nie ma ambicji wyłącznego reprezentowania humanistyki. Ta wspaniałomyślność techniki wpływa może z jej ewidentnej obecności przezwagi nad sztuką i jej bezwzględnie pewnego, jak twierdzą niektórzy, zwycięstwa.

Wydało mi się, że to wszystko jest nieporozumieniem. Wynika z fałszywego przeciwstawiania techniki sztuce. W istocie nie ma konfliktu między właściwie pojętą techniką a właściwie pojętą sztuką, gdyż obie te dziedziny służą człowiekowi, są więc humanistyczne. Sztuka bardziej bezpośrednio, zajmując się tzw. życiem wewnętrznym człowieka, a technika bardziej pośrednio i okólnie, ułatwiając mu skuteczniejsze panowanie nad otaczającą go przyrodą i sprawniejszą jej eksploatację. Wystarczy przeczytać popularne dziełko Kazimierza Michałowskiego pt. „Technika grecka”, które się ukazało niedawno nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego, aby się przekonać, jak postępowy rozwój techniki w starożytnej Grecji sprzyjał przyspieszonemu rozwojowi jej urządzeń społecznych i cywilizacyjnych, a w ostatecznym rezultacie rozwojowi jej życia duchowego czyli filozofii i sztuki — i odwrotnie. Dość przypomnieć, że słynny rzeźbiarz grecki Poliklet opierał doskonałość swych dzieł na proporcjach matematycznych Pitagorasa. Platon wynalazł budzik, zaś liczne wynalazki techniczne Archimedeasa wpłynęły decydująco na rozwój teoretycznej astronomii i wiedzy o człowieku i wszechświecie, a więc i sztuki, która była tej wiedzy artystycznym wyrazem.

Technika pojęta jako narzędzie panowania człowieka nad sobą i nad przyrodą, a sztuka pojęta jako narzędzie poznawania siebie i świata — uzupełniają się i tworzą jedność. Natomiast stają się siłami antagonistycznymi, jeżeli je pojąć jako same w sobie i dla siebie cele. Wtedy technika przemienia się we wroga sztuki i odwrotnie. Wynikiem tego antagonizmu może być tylko jedno: zagłada człowieka. W razie pełnego zwycięstwa techniki nad sztuką człowiek zmieni się w bezdusznego robota — w razie pełnego zwycięstwa sztuki nad techniką człowiek spada do poziomu jaskiniowca. W obu wypadkach przestanie żyć, a zacznie jako robot egzystować albo jako jaskiniowiec wegetować. Skończy się żywa historia, zacznie się martwe trwanie. Bowiem wzrastająca przewaga techniki oznacza w konsekwencji

kres humanizmu, a wzrastająca przewaga sztuki oznacza w rezultacie kres cywilizacji, zaś jedno pojęcie bez drugiego jest absurdem. Tylko inspiracyjne współdziałanie tych dwóch dziedzin może wyjść na dobro człowieka, zdecydować o sensie jego istnienia, ocalić jego historię.

Więc? Żaden rozsądny humanista nie będzie zwalczał techniki, a żaden rozsądny technik nie będzie zwalczał humanistyki. Przeciwnie, obaj będą starali się zrozumieć i przyswoić dziedziny pozornie sobie obce, a w istocie niezbędne dla ugruntowania własnej racji bytu i zabezpieczenia przed absurdem...

Dopóki człowiek panuje nad techniką, jak na przykład maszynista nad parowozem, wszystko jest w porządku. Ale twórcy cybernetyki przewidywać w niedalekiej przyszłości możliwość alienacji pewnego typu jej wytworów, a więc możliwość zapanowania maszyny nad człowiekiem. Tym większa przeto rola sztuki i nauk humanistycznych w celach skutecznej ingerencji wszędzie tam, gdzie człowiekowi zagrozi niebezpieczeństwo degradacji. Dlatego w pasjonującej (świeżo wyszłej) książce, poświęconej temu zagadnieniu, pt. „Era robotów”, jej autor Albert Ducrocq mówi, że dziś właściwie „nie ma zagadnień przemysłowych, ani naukowych, ani też politycznych lub administracyjnych — jest tylko zagadnienie człowieka. Powinniśmy spróbować, żeby świat jutra był piękny i ludzki, żeby człowiek żył od dzieciństwa śpiewając radość życia, a ludzkość żeby cechowała serce i myśli świadoma, których nie mają maszyny”.

I to właśnie w dobie największego w dziejach rozwoju techniki jest naczelnym zadaniem nauk humanistycznych, a przede wszystkim sztuki, której rozwój nie może pozostawać w tyle za techniką. O tej sprawie mówi w niezwykły wnikliwy sposób Zbigniew Bienkowski, poeta i krytyk literacki, w swej ostatniej książce poświęconej analizie postępowych i nowatorskich prądów w literaturze zachodniej naszego wieku pt. „Pieśń o Orfeuszu”. Konflikt między maszyną a człowiekiem, między cywilizacją a kulturą możemy rozstrzygnąć tylko poprzez przyspieszony rozwój kultury, poprzez zrównanie rozwoju humanistyki z rozwojem techniki, poprzez adekwatne w stosunku do techniki unowocześnienie sztuki.

Albowiem jak trafnie zauważa Leszek Kołakowski w artykule „Wielkie i małe kompleksy humanistów” („Kultura i społeczeństwo” nr 1-2 z rb.) nie technika zagraża człowiekowi, tylko możliwość powstania w trakcie jej dalszej progresji ideologii technokratycznej, obecnej i nawet wrogiej każdej postaci humanistyki, a więc przede wszystkim sztuce. Ażby do tego nie dopuścić sztuka musi poprzez swój przyspieszony rozwój i unowocześnienie stać się czymś również niezbędnym i niezastąpionym w życiu człowieka jak technika. Słowem — musi się zespolić w rytmie z techniką i zaadaptować ją jako integralny element nowoczesnej humanistyki.

odqtosy str. 7





Na Wybrzeżu bez zmian. Pogody nie ma, albo jest, plaże opustoszałe albo pełne, kose przewrócone, hotele przepelnione, kawiarnie obłożone. Po sopockim deptaku suną gromady ludzkie niczym w Łodzi po Piotrkowskiej. Cały wypoczynek sprowadza się do tej wielogodzinnej promenady i przeglądu sił pasmanteryjno-galanteryjnych i witalnych. Jeźli chodzi o łodzian to najwięcej ich jest z „Łodzianki”, a łodzianek z „Warszawianki”.

Poza tym Sopot, ta „perła w perle” ulega intensywnemu procesowi demokracji. W ramach tego procesu zbudowano już kombinat gastronomiczny w stylu czesko-szwedzkim oraz zainstalowano telewizory „Orion” w... apartamentach Grand-Hotelu.

Tyle o demokracji odgórnej, bo i oddolnie czyli na własną rękę ludzie się z sobą bratają na zasadzie doboru naturalnego. Zresztą schemat jest dość banalny, a pojęcie kociak, jak i sam kociak, zaczynają tracić mystkę. A to z tego względu, że w środowiskach zbiorowego wypoczynku zaciera się górna granica wieku tego powszechnego zjawiska.

A tak w ogóle nad morzem kobiety są po trzykroć ładniejsze, a mężczyźni aktywniejsi. Też po trzykroć.

Kraży tu na ten temat pewna anegdota o starszym panu, który zaszedł do malej kawiarni i w szatni o dziwo ujrzał rozwieszoną damską bieliznę. Natychmiast weisnął zdziwionemu szatniarzowi dwieście złotych i z wypiekami na twarzy

KAROL BADZIAK

Gwiazdy spadają

wszedł do środka. Okazało się jednak, że kawiarnia jest pusta, a bielizna wzięła się stąd, iż po prostu małżonka szatniarza urządziła pranie.

Poza tym w Trójmieście na nowo odżyła sprawa latających talerzy holidów, pocisków zdalnie kierowanych czy wręcz statków powietrznych nie z tej ziemi.

Przypomnę tylko, że przed rokiem niejaki pan T. Sobusiak z Orłowa zauważył ognistą kulę w kształcie księżycy w pełni, a może i w kształcie dwóch księżyców w pełni, która wpadła do ba-

jednakle jest na ziemi jak i we wszechświecie: zawsze kiedyś gasną.

A więc w Sopocie każdego roku latem odbywa się me-oficjalna rewia najpopularniejszych zespołów estradowych z najlepszymi nazwiskami na afiszach przed wyborową albo raczej doborową publicznością.

Tegoroczny zjazd gwiazd nad morzem zapoczątkowała Jadwiga Smosarska, która spłynęła Batorym aż z Nowego Jorku. Ale Jadwiga Smosarska, nie występowała, aczkolwiek na pytanie dziennikarza odpowiedziała, że się nie odrzeka.

Po sławnej gwiazdzie srebrnego ekranu pojawiły się sławy krajowe z Przybylską Sławą na czele. Potem była Marta Nowosad, B. Drojcka, Gniatkowski, Danek, zespół Mambu-Jambo z gitarą, chór Dos Amigos i wiele innych.

I tutaj smutna wiadomość dla wielbicieli talentu Danika i Gniatkowskiego. Otóż organizatorzy imprezy, w której zapowiedzieli swój udział ci dwaj popularni piosenkarze zmuszeni byli odwołać występ z powodu pu-stki na widowni. Nie wiem czy to stanowi powód do smutku czy do radości, ale fakt jest wymowny i powód do czegoś tam stanowi. A może i wiem do czego tylko nie chcę się narażać P. T. Czytelnikom. Natomiast Teatr Wybrzeża odnosi ciągle sukcesy, a chałtury nawet z wielko-kalibrowymi nazwiskami są tylko chałturami a nie jak to się zwykło ogłaszać: „Aktorzy teatru takiego a takiego postanowili poświęcić swój urlop i w ramach zobowiązań lipcowych dać program składany w szeregu znanych uzdrowisk nadmorskich, górskich, podgórskich i równinnych”.

Afanasiew w tym miejscu zrobiłby do Papi Redaktora perskie oko i powiedział a kuku.

Jeden z moich czcigodnych przodków, Panie Redaktorze, mawiał podobno, że człowiek jest jako ten ptak błotny, bocian, czapla czy bekas — bez wody funkcjonować może li tylko w charakterze znaku herbowego. Jednak, dodawał mój antenat, wszystkiego w miarę, czyli nie za dużo tej wody.

Jak już się Pan domyślił, Panie Redaktorze, w Zakopanem leje. W czerwcu lato i w lipcu lato. Bez względu na tłum letników, wycieczki zagraniczne i Raid Tatrzański, Opady zaś atmosferyczne, choćby tylko w charakterze kapuśniaczki są dla Zakopanego kleską równą trzęsieniu ziemi, choć, oczywiście, mniej atrakcyjna. Aby opisać nudę zakopiańską trzeba naprawdę tego pisać, toteż z ulgą zawiadamiam, że wspomniana katastrofę pięknie i wyraziście opisał Andrzej Strug w „Zakopanoptikonie”.

Bractwo tatarnicze spod znaku czekana i bojowego okrzyku „bier sie!” — zle cholerycznie śledzi, i wyglądając skrawka jaśniejszego nieba, wspomina (dzą przy tym jak myśliwi albo wedkarze) wejścia, podejścia, przewieszki, kominy, wschodnią ścianę Zamarłej Turni, iza się w oku kręci.

Powie Pan, Redaktorze, że przecież i „Jędrus”, i „Watra”, i „Turnia”. A ja odpowiem, że konsumpcja na „Watrze” 150 złotych polskich żywa gotówka... iza się w oku kręci. Zakopane jest miastem największej nierówności społecznej. Różnice społeczne i antagonizmy występują tu w nigdzie nie spotykanej wyrazistości. Co zaraz ukaże i zobrazuje.

Lumpenproletaria; to letnicy, którzy za 400 zł miesięcznie siedzą gdzieś w gazdy w Poroninie, Olczy czy Jaszczurówce. Występują oni przeważnie w układach: mama — tata — dorastająca córka — młodszy syn. Do ich głównych zajęć należy: oddychanie (wiadomo górskie powietrze), picie mleka (wiadomo, odciganego) oraz spacer. Spacer przeprowadzają w jak najniższych regionach, Szczyt — Kalatówki, a już co najwyżej Hala Kondratowa. Wycieczkowiec stoją nieco wyżej i nieco wyżej chodzą. Chodzą jednak stadami, czym zdobywają sobie szczerą pogardę prawdziwych turystów i zdobywają przeważnie Giewont. Nie są to wprawdzie pierwsze wejścia w historii taternictwa, ale zawsze te tysiąc osiem-

set metrów i to bez maski tlenowej — jest wycieciem.

Mam poważne trudności w dalszym szeregowaniu. Bo trzeba sklasyfikować tatarników oraz tych, dla których góry zamykają się na linii Krupówek od „Europejskiej” w dzień do „Watry” w nocy z nieznanymi tylko odchyleniami do „Turni” i kawiarni na Gubałówce. O pierwszych już wspominałem, o drugich powiedzieć można pozornie niedużo: mają pieniądze. Dalsze rozważania na temat tej warstwy społecznej mogłyby niechybnie zaprowadzić do dociekań na temat: skąd mają pieniądze, a tego z racji swojego urlopu chciałbym za wszelką cenę uniknąć.



MAREK WAWRZKIEWICZ

Ceper straszliwy, naiwny i wstydlivy

Istnieje jeszcze jedna, brutalnie wyrzucona poza obręb społeczeństwa grupa, która w tym roku obrodziła wyjątkowo licznie — są to autostopowicze. Bez wątpienia są to pariasi Podhala, tepieni najróżniejszymi sposobami, każdy szanujący się a zmotoryzowany obywatel na widok jednego lub kilku autostopowiczów dodaje gazu i w szalonym pedzie niecać kurz i złorzeczenia mija delikwentów.

Nie skutkuje nawet sposób „na wabią”, polegający, jak wiadomo, na tym, że grupka tych niecnych młodzieńców wystawiając na szosie tzw. szalową babkę chowa się w przyrodne krzaczki. Z chwila kiedy jakiś naiwniak zatrzymuje swój wehikul, aby ją (babkę) zabrać, cała banda wy-skakuje z zarośli, ładuje się na siłę do pojazdu i, Nicstety, to tylko teoria, bo naiwnych coraz mniej,



Panie Redaktorze, Siedzą przeto smętnie na rowie autostopowicze i modlą się, żeby choć redakcyjna Warszawa „Dookoła Swłata” jechała.

Chyba nie od rzeczy będzie, jeśli na zakończenie napiszę słów kilka na temat ceperstwa, zaznaczając przy tym skromnie, że będzie to bodaj pierwszy naukowy przyczynek do tego poważnego tematu. Ludność Podhala dzieli się na tubylców i ceprów. Ceprowie to element napływający w sezonie letnim i zimowym. Myłiby się poważnie ten, kto by usiłował potraktować ceprów jako masę jednolitą. A oto, Panie Redaktorze, typy zasadnicze.

CEPER STRASZLIWY

Postrach ludzi i przyrody. Pierwszego dnia swojego pobytu w górach każe się fiakierowi wieść np z Poroni na do Zakopanego. Jest pijany i śpiewa „Nie lij dyscu”. W czasie wjazdu kolejną linową na Kasprowy wychyla się przez okno wagoniku i ryczy. Budzi zgrozę a także chęć morderstwa.

CEPER NAIWNY

Wstępuje w stadach. Kupuje wszystko — serki, mleko i śmietanę (w Kuznicach), ciupagi, pudełeczka ozdobione „plaskorzębą” itd. Rozpoznaje się go po szeroko otwartych oczach i ustach. Kontempluje krajobraz w sposób stadalny: „patrzcie, jakie wysokie” — „achaaa!”; „jakie piękne” — „achaaa!”.

CEPER ROMANTYCZNY

Rzadziej spotykany typ z rodziny naiwnych. Samotnik albo w parze. Kontempluje.

CEPER WSTYDLIWY

Najbardziej pożądanym w górach okaz cepra. Wstydlivy się, że jest. Ze jest w górach. Ze jest ceprem. Wstydlivność cenna, bo dyktująca ostrożność. Unika śpiewania pieśni „góralskich”: „Góralu czy ci nie żal” i „W murowanej piwnicy”. Nie usiłuje łańczy zbójnickiego. Nie zwraca się do górali per „panie juhas” i „panie bacia”. Najwyżej „gardo” co jest dopuszczalne. Gatunek zanikający.

Traktatem tym zakończę. Pozdrowienia od gór Panie Redaktorze.



Arystarch

Nakładem wydawnictwa paryskiego „Robert Laffont” ukazała się sensacyjna książka dwóch angielskich znawców — specjalistów od spraw Trzeciej Rzeszy, Rogera Manvella i Henryka Fraenkla pod tytułem: „Goebbels, jego życie i śmierć”.

Jeżeli nawet kierownicze kółka hitlerowskie były przekonane, że Goering jest pyszkatym wykolęfem i błaznem, pozabawionym inteligencji, zaś Himmler — ślepym wykonawcą rozkazów Fuehrera, wykonawcą który w celu zasłużenia sobie na łaskę wodza, gotów jest do wykonania najbardziej „brudnej” roboty, o

tylko Goebbels, jedyny spośród zauszników Hitlera, wydaje się postacią bardziej interesującą (szczególnie w złym tego słowa znaczeniu), postacią, której warto poświęcić chwilę uwagi.

Szczegółowe i cierpliwie poszukiwania Manvella i Fraenkla, ankiety wśród przyjaciół i rodziny Goebbelsa, ale nade wszystko,

lej budowy, słabego zdrowia, a na dodatek — kuter-noga. Stąd potrzeba rekompensaty czyli potrzeba wyższenia siebie, ujrzenia się w blasku i chwale, do czego najlepszą drogą okazało się — kłamstwo prasowe.

Dlaczego Goebbels wybrał tę właśnie drogę? Stało się tak nie przez przypadek. W czasie studiów filozoficz-

ra do władzy, a jego autor został mianowany ministrem propagandy. Krytyka dopatrzyła się w „dziele” Goebbelsa ukrytych snów o potęgę, którymi autor już później jako oficjalny propagandzista Trzeciej Rzeszy chciał zrekomensować swą mizerną powierzczość. W tym celu Goebbels wysił się żeby zawsze błyszczeć intelligen-

ponura logika w karierze tego grafomana-kuternogi, która wymiosła go na szczyty i postawiła w gronie osobników rządzących Trzecią Rzeszą. Tą logiką było bezcelne lecz konsekwentne kłamstwo. W innych czasach w normalnych ludzkich ustrojach pan doktor filozofii znalazłby się za pewne w szeregu ludzi nieprzystosowanych i

śpiących dzieci Magda Goebbels wraca do męża redagującego właśnie swój testament polityczny, i z bunkra małżonkowie schodzą do ogrodu przy kancelarii Rzeszy. Magda Goebbels nie zdążywszy rozgrzeć tabletki z trucizną gnije z ręką męża od kuli w tył czaszki. Następnie popelnia samobójstwo Goebbels, a wierni przyjaciele oblewają zwłoki benzyną i podpalają. Tyle zostało ze snów o potęgę małego przewrotnego człowieka, który dla zaspokojenia swych wygórowanych ambicji nie zawahał się przyłączyć do ludobójców.

Co słycać na świecie czyli o grafomanie Goebbelsie

szczęśliwy przypadek — odnalezienie pliki manuskryptów dyktatora prasy w Trzeciej Rzeszy — pozwoliły autorom książki na ukazanie hitlerowskiego degenerata w pełnym świetle.

Zasadniczy rys charakteru Goebbelsa upatrują oni w silnie rozwiniętym poczuciu niższości: jak wiadomo Goebbels był osobnikiem małego wzrostu, wąt-

nych przyszły dyktator prasowy Trzeciej Rzeszy „wymażyl” liche powiesidło, coś w rodzaju poematu w połączeniu z pamiętnikiem. Treścią tego grafomańskiego utworu (który przed przewrotem monachijskim został odrzucony przez róż-

ne wydawnictwa) był hymn ku czci Wielkich Niemiec. Oczywiście, to poronione dzieło zostało wydane natychmiast po dojscu Hille-

cja, żeby zyskać poklask, a szczególnie — uznanie w oczach Hitlera, i cierpiał, jeżeli każdy jego nowy artykuł w oficjalnym organie Rzeszy, tygodniku „Das Reich” nie zasłużył na ocenę Fuehrera jako majster-sztyk dziennikarski pod względem treści i stylu.

Oczywiście, artykuły te były naspikowane kłamstwami, i w tych kłamstwach była właśnie jakaś

zgorzkniałych z powodu niepowodzeń, jakich nie oszczędziłoby mu jego „pi-sarstwo”. Z dojsciem do władzy Hitlera stał się doktor Goebbels jego ministrem. Równie jednak szybko jak triumfalna wspinaczka, przyszedł upadek hitlerowskiego męża stanu.

Nazajutrz po samobójstwie Hitlera i Ewy Braun idą w ich ślady małżonkowie Goebbels. Po otruciu



str. 8 odqtosy

Gregorz
Timofiejew

CZŁOWIEK



jest nagi

I mieliśmy taki mały domek. No i na podwórku zrobiliśmy ogrodzenie. Były też klatki...

— No, a króliki.

— Właśnie w tych klatkach. Hodowałem, owszem, ale nie dużo.

— A ile też było sztuk? Gadałże przedzi.

— A tak ze siedemdziesiąt... Nie, osiemdziesiąt. Czasem więcej, a czasem mniej, jak królik zdechl.

Kapo lekceważąc machnął ręką:

— Też mi królikorz!

I postanowił:

— Wy — wskazał ręką na Józka i Hipcia — do hodowli królików, a ty — zwrócił się w moim kierunku — do gnoju i Futterraumu. Taki z ciebie królikorz jak z koziej dupy fajka.

Co kapo powie, jest ostatecznie zdecydowane. Taki porządek w obozie. Wiece tamci poszli do hodowli królików, a ja do wynoszenia króliczych bobków i do pracy w Futterraumie. No i ja wygrałem na sto dwa.

Królik angora? Żadna panna nie jest tak grymasna. Pić mu nie dasz, zdechnie. Ale woda musi być przegotowana, ani za zimna, ani gorąca — inaczej zaszkodzi. Trawkę, owszem, królik ze smakiem konsumuje, ale tak „zaparzona“ — biała kitka odwali. Kartofli mu daj, ale nie za dużo i nie wczorajszych. Muszą być świeżo ugotowane, lecz nie za gorące. A niech to wszyscy diabli!

Kapryśny stołownik! Klatkę trzeba co dzień po wybraniu bobków wrzucić sparażyć. A ledwoś sparażył, wyczyścić, królik znów paskudzi. Ciągłe paskudzi, a ty stoisz przy nim jak niańka, wyprzatał, czyść, wycieraj. Przyjdzie esesman, zobaczy, że królik ma na tylnych łapkach puch żółty (od tych wiecznych bobków), hodowce w gebe, Królik zdechnie, a przecież stworzonko śmiertelne — opiekun idzie do karnego komanda w kamieniołomach. Ciągłe trzeba kolo takiego królika tańczyć i pod kitkę mu dmuchać. Odpowiedzialna, ryzykowna robota.

W obozie panowała zasada: oszczędzać się, migać się w pracy. Ale tu się nie dało jej stosować. Królik natychmiast „wykazwał“, czyś pracował czy nie. Tu było komando na serio.

Józek i Hipcio nie mieli łatwego życia. Później się wyciwiczyli, tymczasem tego pracowali. Ciągłe klatki pucowali. A ja byłem „wolny strzelec“. Przychodzę i pytam:

— Jak tam zdrowie pana królika, mecenasie?

— A właśnie klatkę mu sparażam.

— No to, szczęście Boże!

Byłem „wolny strzelec“. Na terenie komanda znajdowały się dwa zabudowania gospodarcze. W murowanym budynku — weterynaria i kuchnia dla królików, w której gotowano właśnie kartofle i wodę. W drewnianej, jakby stodołę trzymano trawę. To był właśnie Futterraum, czyli moja rezydencja.

Pracowało się na komandzie od szóstej do szóstej z wódzinną przerwą na śniadanie. Jakiś rano przyszedł kapo rozdawał prace. Podobnie po

obiedzie. Choć tu każdy wiedział, co do niego należy i robota szła gładko. Ale taki panował w obozie zwyczaj: staliśmy w szeregu, kapo zaś do imienia wywoływał. Jak powiedział „Gregorz“ i wskazał kiucikiem prawej ręki na Futterraum, pedziłem do siebie.

Praca podobała mi się, gdyż dawała możliwość swobodnego poruszania się po terenie króliczarni i była urozmaicona.

Z rana do Futterraumu przychodzili królikarze po karmę. Pchałem każdemu wonną trawę do worka. To żadna sztuka. Czasem tylko któryś z królikarzy wymyślał mi od mazgaja, że niby za wolno się ruszam, a Fredek, antypatyczny śmieszki, krzychał, że trawa „zaparzona“.

Potem brano mnie do niesienia tragi z kartoflami, które gotowało się dla królików w sposób przewidziany regulaminem i poza regulaminem dla królikarzy. Potem nosiłem wodę do olbrzymiego kotła — królikom na poranną herbatę. Przecieżnie piętnaście wader. Dalej trzeba było wynieść bobki na teren poza komando, gdzie pod rozłożystą lipą znajdowało się usypisko. Gnoj wyносили zawsze we dwóch — w drewnianych pudłach umocowanych na dwóch drągach. To była dość ciężka praca. Tragi ciężki mi diabli. Na rękach wyskakiwały bąble.

Idąc zerkałem niespokojnie w prawo, gdzie kamieniołom. Psiakrew! Piekło było czynne od rana i to gorączkowo. Bewegung! Bewegung! Ale oto — w białym rzućcie oka — pod osłoną wielkiego kamienia stanął muzułman. Przez nikogo niezauważony łapie moment wypoczynku. Może już za chwilę spadną na niego kije rozwścieżonego weterbera. Tymczasem stoi, ciekawie oddycha. Jak to powiedział mój szrajber? Ma pięć minut więcej do życia.

Po wyniesieniu bobków zamiatalem króliczy teren. Dobra robota! Szast praś młotem, a potem można przystanąć i, jeśli nikt nie patrzy, pogapić się w niebo albo zachwycić się pięknymi kwiatami.

Kolo dziesiątej grupa kosiarzy, też oczywiście wędźniów, przywoziła czuboty wóz świeżej trawy. Pakowano ją do Futterraumu, a ja stojąc po pas w pachnącej zieleni, rozrzucałem trawę na drewnianych regałach. Teraz należało uważać. Trawa świeżo skoszona, gdy leżała „zbita“, robiła się „ak gorąca“, że po prostu parowała. Królik od takiej trawy zdychał. Trzeba było trawę rozrzucać starannie warstwami, i żeby „nasza powietrzem“. Z początku nie dawałem sobie rady, pracowałem zbyt wolno, a koledzy widząc to, na złość rzucali na mnie widłami świeże kopy. Ale później nauczyłem się pracować szybko i dokładnie.

Odnajdywałem w tym dużą przyjemność: laska jakby wchodziła we mnie; koniczyna, rumianek, różne kolorowe dzwoneczki laskotały mi po twarzy. Wyobrażałem sobie, że wolny brodzię w zieleni. Gdy gong obozowy oznajmił przerwę na obiad, wyskakiwałem z Futterraumu cały zliczony. Na sobie, w nozdrzach, w uszach miałem dżdżbła trawy. Koledzy wyśmiewali się ze mnie: dziłus! Ale nie było mi przykro. Po drodze strząsałem z siebie resztkę trawy, ale jeszcze długo szedł za mną słodki odurzający zapach.

Po obiedzie przywożono niekiedy słoneczniki. Trzeba je było siekać. Króliczy przysmak. Znowu zamiatałem, nosiłem wodę, podlewałem trawniki i kwiaty.

Robota wymagała pewnej

fizycznej sprawności. Czasem trudno mi było wydołać, rano nogi i palce u rąk miałem zgrubiałe, spuchnięte z wysiłku. Nigdy przecież nie pracowałem fizycznie i do tego od szóstej do szóstej. Z czasem się przyzwyczaiłem. Ciało nabierało siły, a ciągłe obcowanie z przyrodą w warunkach pięknego lata kojąco działało na „inteligencję przeważliwienie“.

Swoboda poruszania się w terenie, rozmaite zajęcie przypadły mi do gustu — jako „zdeklarowanemu indywidualistcie“.

Komando trzymało biał z esesmanami. Zresztą, komandoführer nie był zły. Stosunki z nim układały się na zasadzie prawa wzajemności. W końcu króliczarni znajdowało się parę klatek. Mówiono mi: „Uważaj, te króliki są najważniejsze“. Domyślałem się, że komandoführer przy naszej pomocy organizował króliki dla siebie. Za to mieliśmy codziennie świeże kartofle. Jedna traga — królikom, druga — ludziom. Sprawiedliwie. Ktoś zawsze stał „na lipku“ i dawał cynk, a ja i Fredek dyrdaliśmy z tą drugą tragą. Kilka razy widzieli nas esesmani, ale nie zrobili meldunku.

nać korca kartofli. Uważano niesłusznie, że jestem lajza, obibok, który od roboty się wymiguje.

— Kartofle chcesz żryć, a robić nie laska.

Pewnego razu, gdy zamiatałem króliczarnię, miałem przy sobie kupę gapiów. Nie wiedziałem, o co chodzi. Okazało się, że nie fachowo zamiatałem. Komando wzięło mnie na języki, że jestem fajtlapa, cholerny niedolega — nie umiem zamiatać. Albo udaje.

Kiedy wyszło na jaw, że ze mnie żaden robotnik, tylko inteligent ze szmerglem („pisze coś!“), opinia przechylała się na moją korzyść. Mówiono:

— Ten z Futterraumu to przyzwyczajony chłop, żaden markierant, tylko mu klepki w głowie brak. Wiersze pisze.

Moim bezpośrednim zwierzchnikiem (Kapo to pierwszy po Bogu!) był niejaki Marian Mąka. Chłop w gruncie rzeczy niezły, ale ze skłonnością do grubiaństwa. Ponieważ nigdy nie mógł mojego nazwiska wymówić, wpadł na „dowcipny“ pomysł, żeby wołać na mnie Timoszenko. Że jeden więzień, a drugi marszałek radziecki, cóż to za różnica! Obaj mają nazwisko na T.



Wszystko się opłacało, kiedy kapo nasypał mi pełną czapkę gorących ziemniaków „w mundurkach“. Ngdy w życiu tak mi nie smakowały. Komando słygnęło jakożamozne. Miało duże możliwości organizacji. Posiadało żywność, utrzymywało kontakty z cywilami. To ogromny plus. Natomiast ujemna specyfika króliczarni polegała na tym, że występowały tu tarcia między więźniami z ludu, a inteligencją. Komando zatrudniało wielu nauczycieli. Koledzy pracujący w dziale weterynarii stanowili swoistą arystokrację. Patronował jej doktor Roman Kosmala. Ja tak wysoko nie doszedłem, trafiłem między „plebs“.

— Te, Timoszenko, weź no miotł i idź pisać na ulicę!

Albo:

— Te, Timoszenko, masz tu królika, zarżnij go i obedziej z skóry.

Powiedziałem, że tego nie zrobię.

— To dostaniesz w mordę!

— To dostanę.

Ostatecznie skończyło się na tym, że tylko zakopywałem wnętrze królika, ale stworzonka nie zarżynałem.

Mąka ciągle mnie szpiłił:

— Jak robota? W Futterraumie czysto?

Po wydaniu trawy Futterraum należało zamieść i przygotować pomieszczenie dla świeżej karmy. Robiłem to starannie, ale Mąka zawsze mi dokuczał.

Pewnego razu miałem pecha powiedzieć, że w Futterraumie zawsze mam czysto, bo robota nietrudna.

Mąka natychmiast się ucieszył:

— A to co? Zdźbio na ziemi? Zamiataj jeszcze raz.

Zamiotłem. Mówię:

— No, teraz chyba czysto.

Mąka wyszukał na klepsku ślad trawy:

— A to co? Zamiataj jeszcze raz.

I tak w kółko.

Nad wieczorem Mąka mył nogi. Czekalem, żeby wodę wylać. Przysuwał mi brudne wiadro:

— Masz, wychlej się.

Lecz kolo fortuny łoczy się zmienienie, szczególnie w obozie.

Pewnego razu wszedł do Futterraumu Gałata:

— Szrajber z czternastki o cie pyta, co mam mu rzec?

Odpowiedziałem:

— Ze jest mi dobrze — spojrzałem na siwy łeb kapo i dodałem — jak u ojca.

Ale Gałata po paru dniach przyszedł do mnie znowu:

— Szrajber z czternastki cięgiem się o cie pyta. Co jest, pieronie?

Co jest? Placek z kruszonką! Pomyślałem: teraz albo nigdy. Muszę poprawić moją sytuację w króliczarni.

Powiedziałem umyślnie przesadnie:

— Bo, panie kapo, nie było się w Polsce byle kim.

— Co wy mówita, kolego Grzegorz! Rzućta ta łopata. Chodźta tutaj, gadajta.

Wyjaśniłem, że byłem literatem, wydawałem książki i pisywałem w gazetach.

— Co wy mówita?! Kolego Grzegorz! To może żeśta znali redaktora z „Polski Zbrojnej“, co go tu wrzy zjadły?

— Znałem. Wielu znałem i redaktorów i wojskowych. Celowo wkraczałem na teren Gałaty.

— A Lepeckiego, adiutanta marszałka?

— Też znałem.

Nie wiedziałem, dlaczego Gałata zapytał akurat o Lepeckiego, ale mówiłem prawdę.

— Kolego Grzegorz! A wy za co siedziła? Za te Polskę? No, a jak tam u nas? Gadajta.

Gałata siedział od początku. Jak wielu, był pod wrażeniem hitlerowskich zwycięstw. Opowiedziałem mu o konspiracji. Scharakteryzowałem sytuację międzynarodową.

— Kłeska Niemców jest pewna, Polska będzie.

Gałata słuchał ogromnie poruszony. Zuł bezwiednie zdźbio trawę, a zamysłona twarz odbijała wewnętrzną głęboką walkę. Tyle czasu w Gusen przesiedział, tak długo na niezliczone ofiary patrzył, niełatwo teraz uwierzyć, że Niemcy przegrają. Powiedział mi:

— Kolego Grzegorz! Byli tu już tacy, co to o Polsce mówili, tam są — podniósł w górę palec. — Wy lepiej o tym wszystkim nie gadajta, jeszcze jaki drań usłyszysz i doniesie. A z robotą to się nie sumujta. Ino oczami robić, oczami, czy esesman nie idzie.

Rozmowa odbyła się w południe. Po obiedzie kapo rozdając pracę jak zwykle powiedział:

— Grzegorz do Futterraumu!

Po chwili przyszedł do mnie:

— Po południu kolega może już nie robić. Ino oczami, oczami smyrgać. Jak esesman idzie, za widły chwtać, trawkę rozrzucać.

Tak uzyskałem nieoficjalną „znížkę godzin“ w pracy i później gdy się użaliłem — obrone przed chamstwem Mąki.

Czas wolny zużyłem na wiersze oraz na obserwację i przemyślenie obozowych obyczajów

D. c. n.



WIADOMOŚCI

Jak się dowiadujemy, zawarto już kontrakty na dostawę w roku przyszłym samochodów zagranicznych do Polski. Nie będzie tu żadnych nowości: ze Związku Radzieckiego otrzymamy niewielką partię doskonałych „Moskwiczów” 407 (model 1960 z czteroprzekładniową skrzynią biegów), z Niemieckiej Republiki Demokratycznej „Wartburgi”, które cieszyły się w tym roku nadzwyczajnym powodzeniem oraz z Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej znane „Skody 440-Octavie” oraz „Skody 445-Octavie Super”.

O warunkach nabywania samochodów osobowych w roku przyszłym postaramy się

poinformować naszych Czytelników.

Trawiące od maja br. trudności w dostawach samochodów M-20 „Warszawa” spowodowały zamknięcie listy przedpłat na te wozy w „Motocyście”. Zainteresowanych ucieszy niewątpliwie wiadomość, iż obecnie Łódzki „Motocyb” wznowił przyjmowanie przedpłat na „Warszawy” z terminami dostaw w III i IV kwartale, aż do wyczerpania limitu.

Ostatnio nastąpiła decentralizacja sprzedaży samochodów-furgonetek marki „Nysa” i „Żuk”. Rozprowadzane są one obecnie poprzez wojewódzkie przedsiębiorstwa „Motocyb”. Posiadacze asygnt na te wozy unikną więc kłopotliwego i kosztownego delegowania swych pracowników do Nysy czy Lublina, skąd do tej pory odbierało się te samochody.

DLACZEGO?..

...nie można otrzymać nigdzie zwykłego 20-litrowego kanistra do benzyny, który jest przecież artykułem pierwszej potrzeby każdego posiadacza pojazdu mechanicznego?..

Najostrzejsze ołówki światła
AGNESE

Oto jeszcze jeden przedstawiciel młodej generacji humorystów francuskich, który obok Otero, Chambo-na, Gebe i Polona — stanowi nadzieję karykatury tego kraju.

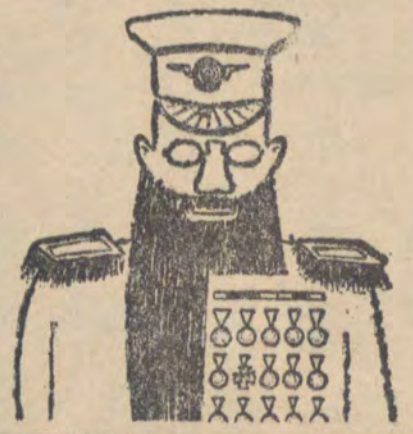
Humor Agnese nie należy do łatwych: nie każdego rozśmieszy książkowa dubeltówka z kolbą w kształcie pastorału, czy zawzięty czytelnik, podtrzymujący senne powieki... balonikami. Przyznajmy jednak — nowe spojrzenie na pospolite właściwie przedmioty, zaskakujące odkrywanie ich nieprawdopodobnych przeznaczeń — budzi wesołość. Może nie spontanicznie, może tylko dyskretny — ale przecież śmiech. A nadto — refleksję..

Agnese jeszcze nie zdobył sobie sławy, dla popularnych tygodników jest odrobinę zbyt wyrafinowany. Lecz już coraz więcej mówi się we Francji o wschodzącej gwiazdce młodego humorysty, poważni krytycy (Jacques Sternberg) zastawiają go aż z takimi tuzami malarstwa i grafiki, jak Paul Klee i Saul Steinberg.

Najciekawsze, że rysowanie żartów jest dla Agnese zajęciem ubocznym. Utrzymuje się z tłumaczeń, oraz ilustracji dla tygodników dziecięcych.

Zjawisko zbyt powszechne, by je nazywać jeszcze paradoksem: najambitniejsze prace chleba nie dają..

(Jert)



ZYGMUNT fijas

Poradnik dla sromianych wdowców

unaPARK

Jak ogólnie wszystkim wiadomo, przeżywamy okres wakacyjny, albo też jak kto woli to nazwać — okres ogórkowy lub... kanikuły.

Kanikuła, czyli psia gwiazda, objawiła się nam w lipcu trochę od tylnej części naszego ciała, bo lafo przez pełne dwadzieścia cztery dni i nocy jak z cebra — na jeden kilometr kwadratowy powierzchni naszego, wyschniętego ubiegłego roku na pieprz kraju, spadło ponad jeden kilometr sześcienny wody pochodzenia mrzawkowego, trzy i pół kilometra gęstości, wynikłego z kondensacji kropel średnich rozmiarów, oraz cały kilometr kubiczny i ileś tam sagów H₂O, powstałej ze zrzeczenia się kropel deszczów typu zenitalnego..

Ale zbiory, mówiąc z naukowym wyrazem twarzy, jako tako układają się, rany powodziowe zablizniają się, możemy przeto przystąpić do dalszego płochego kontynuowania naszych rozważań i odpowiedzi letnich.

W jakim celu otwarliśmy pismo LUNAPARK?

Zapowiadaliśmy przecież że, otwieramy pismo Luna-park (ciagle to podkreślamy czerwonym atramentem) „najmniejsze, ale najciekawsze pismo świata” (krwawe boje i karzemne zwady pod kłóskami Ruchu w celu zdobycia bodaj jednej szpalty tego wstrząsu publicystyczno-satyrycznego, jako też li-

czne interwencje organów MO oraz zataczania się kulturalnych sejmowych z powodu zbyt niskiego nakładu tego pożytecznego pismka), zapowiadaliśmy we wstępniakach do niego, że otwieramy je nie w celu ostatecznego załatwienia zagadnień wypełniających czaszki największych rozmiarów, nie w celu ostrzeliwania zła, bo od tej strzelaniny wzięliśmy urlop; także nie w celu rzucania się z siekierami satyrycznymi na niesumienne ekspedientki — amatorów łatwych zysków pochodzenia publicznego, na magazynierów, aferzystów, pracowników zakładów zbiorowego spożycia, lecz w celu puszczenia baniek mydlnych, przepelniających nasz lokal redakcyjny i przeszkadzających nam w poważnej pracy.

W tym numerze pragniemy się zająć ofiarą systemu wakacyjno-wczasowego... słomianymi wdowcami i wdowami, uformowanymi z tego samego lekkiego materiału, co wdowcy.

Sami przecież byliśmy słomianymi wdowcami. Wiemy, ile cierpień, gorzkich zawodów, niepotrzebnych wydatków i ubytków zdrowotnych kosztował nas ten okres słomianego wdowieństwa.

Piorąc własne koszule w mersaponach, pagnopnach,

nym, purusach i innych rozpuszczalnikach tkanin i brudu, doświadczyliśmy na własnej skórze skutków tego pracochłonnego, przykrego dla znanego mężczyzny krytycznego okresu.

Zjadłszy obiad w restauracji, po którym atakowały nas zgągi wszelakich ras i maści, lub napelnniejszy swój przewód pokarmowy paroma litrami rozgotowanych na papkę płatków „Górskich”, nadając się znakomicie do lepienia afiszów, poznaliśmy wszelkie bóle gastryczne.

Do tej pory czujemy jak szamoce się w nas kotlet barani, który mieliśmy nieszczęście sporządzić własnoręcznie.

Otwierając usta do lusterka i oglądając w nim odbicie własnego gardła, ciągle w nim widzimy górny czubek niestrawionego do tej chwili ogórka, zakwaszonego przez nas osobiście przy użyciu wszystkich zaleconych przez miesięcznik „Ty i ja” przypraw jak... tymianek, nastureja, pietruszka, szczaw, rozmaryn, szalwia, mięta, estragon (lubczyk i marzanna barwierska). Czytaj numer czerwowy tego pisma, zaznajom się ze sposobami „campingowego” gotowania kolb młodej kukurydzy, „ożywiania” konserw miesięcznych jako też ożywiania kobiet zimnych przez umiejętne kolaboracje z nimi i wprawne stosowanie dziesięciorga przykazań etyki seksualno-programowej pod redakcją docenta doktora Jerzego Suchanka, znanego warszawskiego uwodziciela kobiet stołecznych i podwarszawskich..

Ciągle boli nas przyrzadzony według przepisu podanego przez to pismo „twarożek z jagodami”, „piernik na piwie” bolą nas „pomidory faszerowane ementalerem”, jaja w „koszułkach” lub „na twardo po chińsku”, gotowane w herbacie, jako też „dukaty ogórkowe z twarożkiem”, „sałata zielona z orzechami”, „śnieg jableczny”.

Gdy przeczytamy w majowym numerze tego pisma, wydawanego przez Ligę Kobiet, przepis na sporządzenie „kury a la cesarz Varius He-

liogabalus”, czyli po łacinie „Pulvis Varianus” (według doświadczeń kucharza mistrza Apicjusza, żyjącego w czasach panowania cesarza-wariata, Tyberiusza), gdy przeczytamy ten przepis, co spowodował, że istotnie, kupiliśmy oryginalną kurę ze skrzydełkami, z piórami i dziobem, oraz z przymkniętymi oczkami, bo już śnięta, i ugotowaliśmy ją w okresie działania reżimu słomianego wdowowstwa (aby posmakować tego arcysmaku rzymskiego cesarstwa), ugotowaliśmy ją z dodaniem oliwy, wina „portwein” (gruzińskie, 19 proc. mocy), pęczka ziół kuchennych, pasty śledziowej — tak jak podaje to „Ty i ja” w artykule zdobionym przez psychopata Charlego, gdy więc ugotowaliśmy ją, nie zapomniawszy dodać uniwersalnego dla kuchni rzymskiej „liquamenum”... płynu wydzielonego z ciała macerowanej na słońcu ryby — w naszym wypadku czerniaka, który w początkach lipca pojawił się w łódzkim handlu rybnym w szczonej ilości, ale w dzwonach, sprawiających wrażenie jakby wylupanych z ogona ośeska (gada) przedpotopowego lub podłolka-rekina... „to nigdy nie zapomniemy czterech dni naszego letniego życia spędzonych w objęciach pielęgniarzy pogotowia ratunkowego, starającej się wyjąć z nas ową przeklętą kurkę cesarsko-rzymską, ową przeklętą kurę wraz z pastą śledziową, pęczkiem ziół kuchennych, oliwą sojową i „liquamenem”..

Nie zapomniemy i gotowi jesteśmy klęknąć na ulicy przed każdą pierwszą lepszą słomianą wdową i powiedzieć jej: — Skarbie, jesteśmy jeszcze sami w mieszkaniu, bo prawowita żona bawi w dalekich ostepach Rzeczypospolitej Polskiej, przyjdź do mnie, nawet z milicjantem, i ugotuj, błagam, ugotuj nam zwyczajny garnuszczyk „polskich ziemniaczków” z koperkiem, i zwyczajny krupniczek, może być nawet na jednej tylko kręście psiej, a zostaniesz ożłocona.

Dalszy ciąg „Poradnika dla słomianych wdowców” w następnym numerze.

Łódzki BIGOS HISTORYCZNY

CO BYŁO, A NIE JEST, PISZEMY W REJESTR

(„KURIER ŁÓDZKI” — DZIENNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI, ROCZNIK 1911 M-C E 1-III, NRY 56, 57, 60; 69; 74)

POŻAR FABRYKI

Dziś o 1 w nocy mieliśmy znowu pożar fabryki, Schmidta przy ul. Wólczańskiej nr 29. Właściwie mieściły się tu trzy fabryki. Górne piętra gmachu fabrycznego spaliły się do szczeru, a tylko parter zdołano przed pożarem uchronić.

Fabryka Schmidta ubezpieczona była w towarzystwie „Warszawskim” na 5000 rub, a 2 drugie fabryki w towarzystwie „Salamandra” i Rosyjskiem na ogólną sumę 100.000 rub. Straty obliczają na ogółem od 50 o 60 tys. rb.

Z ALEKSANDROWA ŁÓDZKIEGO

Aleksandrów, osada licząca z górą 10 tysięcy ludności, nie posiada dotąd oświetlenia! Z tego powodu z nastaniem wieczoru panują tam egipskie ciemno-

ści i ruch na ulicach zaczyna się góra 10 tysięcy ludności, nie posiada dotąd oświetlenia! Z tego powodu z nastaniem wieczoru panują tam egipskie ciemno-

I ŻELAZNY KOMIN

16 metrów wysokości, a 1/2 metra średnicy w brym stanie, jest poszuki-

Wanym. Oferty z ceną pod BWP składac dla Redakcji „Kurjera Łódzkiego”.

UWAGA PENSJONAT

Inowłódz nad rzeką Pili-cą. Jest tu Pensjonat, który cę. Jest tu Pensjonat, który

Pańska 58 u A. Turmano-stwierdza, iż zapewnia opie- wa.

NOWE MODY DLA MĘŻCZYZN

Pleć „brzydka” pozostawia kobietom „jupe culotte” (suknia-spodnie) i sprawiono nam garnitury żakietowe w kolorze fioletowym. Oto i młodzieńcy elegancyści przywdziewają już żakiety koloru fioletu biskupiego. Dla mężczyzny STATECZNYCH pozostaje kolor popielaty rozmaitych odcieni oraz granatowy z gładkich materiałów. Marynarki męskie mają w tym roku tylko 82 centymetry. Ulubiony i praktyczny „Cutaway” noszony jest obecnie z mocno wyciętymi ku tyłowi szosami i zbliża się formą do fraka..



TEATRY ŁÓDZKIE DAJĄ..

Teatr Polski A. Zelwero-wicza (Cegielniana nr 63) „Madame Sans-Gêne”..

Teatr Popularny (ul. Konstantynowska) tylko 3 przedstawienia Operetki Polskiej z Warszawy — dziś Manewry Jesienne (o-peretka w 3 aktach), jutro

Hrabia Luxemburg (operet-wiczka w 3 aktach), popularze Miłość Cygańska (operetka). Chór 20 osób. Orkiestra własna z Warszawy. Bilety do nabycia w biurze dzien-ników „Promień”. Piotrkowska nr 81. Galeria nume-rowana 65 kop.

SOLITERA Z GŁOWĄ

oraz inne robaki i glizdy usuwają bez bólu nawet w najuporczywszych wypadkach „Soliteria”, proszek nieszkodliwy, o przyjemnym smaku, oczyszcza kiszki, usuwając radykalnie ro-

baki, nie wywołuje mdło-ści i nie pobudza do wy-najuporczywszych wypad-kach „Soliteria”, proszek nieszkodliwy, o przyjemnym smaku, oczyszcza kiszki, usuwając radykalnie ro-

JESZCZE JEDEN HENRYKI!

Tylko jeden w Łodzi chrześcijanin Chiromanta „Henryk” — przepowiada systemem najsłynniejszych Okultystów z ręki i z kart (księga Thota). Ceny od 1

rb. robotnikom 50 kop. Przyjścia co dzień od 11 rano do 9 tej wieczór, w niesystemem najsłynniejszych Okultystów z ręki i z kart po południu. Zielona 41, I piętro (wejście furtką)..

CENY PRODUKTÓW SPOŻYWCZYCH

Na Nowym Rynku były w dniu dzisiejszym ceny następujące: kartofli ćwierć 35-40 kop., buraków ćwi-klowych — 40 kop., march-wi — 40 kop., jaj kopa — 1,40-1,60 kop., masła kwarta — 90 — 1,1 rub, mle-

ka kw. — 7 kop., kaczki 1,50 rub. kura — 1,80 rb. Szcupaki na Zielonym Rynku — żywe — funt 50 kop., śnięta 25 kop.

Wybrał ZDZISŁAW KONICKI



Na marginesie „CASINO DE PARIS“

To nie będzie recenzja filmu Andre Hunebelle'a można zbć jednym słowem: polecamy. Analizować nie ma tu czego, to ani wielki sukces aktorski, ani muzyczny, ani komediowy, rzecz oczywiście o niebo smaczniejsza i strawniejsza od bliźniaczego „Folies Bergeres”, ale ciągle w granicach filmu typowo rozrywkowego, bez większych ambicji.

Tak się jednak złożyło, że po prasowej pokazówce sympatycznego skafinad „Casina” ktoś rzucił tak sobie — w powietrze — pytanie z rzędu retorycznych: czy nas nie stać na taki film?

Pytanie na pozór pozbawione sensu. Jeśli robimy rocznie 20 filmów, to oczywiście słuszniej i bardziej celowo zaangażować kolor i panoramę w „Krzyszaków” aniżeli w rewii. Po prostu zbyt mała mamy produkcję, a zbyt wiele do załatwienia nabrzmiałych problemów bieżących i dawnych — by pozwolić sobie na rewiewe trele-morele...

Argumenty przeciw naśladowictwom „Casina” można zreszta mnożyć.

Nie mamy w kraju tradycji „music-hallu”, wystawnej rewii, wrocławskie próby kopiowania paryskich wzorów kończyły się załomnym fiaskiem artystycznym i interwencją prokuratury. Jeśli już połączymy muzykę z kabaretem literackiego i estrady, i takiej — kryje się za tym niedostatek specjalistów od tego typu widowisk: po pierwsze — wykonawców, po drugie — wykonawców, po trzecie — wykonawców, po czwarte — choreografów kompozytorów, reżyserów, autorów. Nasze piosenki — a może to tylko złudzenie? — też są bliższe kabaretu i estrady, niż sceny obrotowej wielkiej rewii.

Jeszcze jedno „przeciw”: po co wydawać ciężkie miliony na wątpliwej jakości realizację w kraju, skoro znacznie taniej możemy mieć to samo w gwarantowanym wydanu zagranicznym?

Ot i z grubsza cała argumentacja — zdawać się może — nie do obalenia. A jednak pytanie — czy nas nie stać na taki film? — przecież ciągle natrętnie powraca.

Nie w „music-hallu” pogrzebano przysłowiowego psa gdy podobne pytania zadajemy głośno lub po cichu. Ta kwestia wynika z wyczuwanego przez wszystkich, a z rzadka tylko nazywanego po imieniu — głodu muzyki w polskim filmie. Więcej nawet — chodzi o głód polskiego filmu muzycznego.

Naturalnie, nie mamy tu na myśli odbitek paryskiej rewii. Któż by zreszta śmiał

wymagać od naszych pieśniarek wdzięku Ceteriny Valente, a od pieśniarzy — sprawności fizycznej Gilberta Becaud?!

Filmów muzycznych nakręciliśmy po wojnie — trudno zgadnąć — tyle, co palców u jednej ręki (jeśli więcej, daj Boże — ale chyba się nie mylimy)! Przeciętnie co trzy lata jeden film, lub — jak kto woli — co dwudziesty powojenny film polski można określić tym przymiotnikiem. A tę piątkę obliczamy już z zapasem, oprócz na prawdę muzycznych pozycji jak „Warszawska premiera”, „Młodość Chopina” i „Zolnierz królowej Madagaskaru” — dorzucamy jeszcze „Zakazane piosenki” i „Przygość na Mariensztacie”. W sumie — pięć procent powojennej produkcji. Niewiele? Śmiesznie mało!

Owszem, sporo było muzyki w naszych filmach ale tej liczonej tylko na metry bieżące taśmy w planowanym kosztorysie tej muzyki widz w kinie nie słyszy. Powstało też sporo piosenek, ale wszystkie, nawiązywały do interesujących „Pożegnaniach”, „Wspólnym pokoju” czy „Skarbie” — na zasadzie nieobowiązkowych wstawek.

To już wykracza poza granicę rozumienia — trudno, naprawdę trudno pojąć tak rażąco brak filmu muzycznego w modelu programowym naszej kinematografii.

A zwłaszcza — brak komedii muzycznej, o ileż łatwiejszej do zrealizowania, niż wymagającej uruchomienia wielkiej maszyny organizacyjnej filmu biograficznego o kompozytorze! Czy powodem są bardziej ogólne natury kłopoty ze scenariuszami komedii? Chyba nie. Teoretycznie przynajmniej — prościej jest na pewno skierować do realizacji komedię o byczajowa, niż polityczną (a mamy przecież już „Zezowate szczęście”)! A może teoretycznie obawa przed eskapizmem, ucieczką od problemów współczesności? Tu wypada tylko przypomnieć pierwsze z brzegu tytuły komedii Grzegorza Aleksandrowa — „Świat się śmieje”, „Cvrk”, „Wiosna” — czyż tam da się mówić o eskapizmie?

Podobnych znaków zapytania da się mnożyć jeszcze wiele. Na zakończenie tylko jedna uwaga. Czy nie decyduje w tej materii nadmiar kochanej ambicji? My, Polacy — lubimy piosenki, ale gdy się zabieramy do robienia filmów, chcemy od razu zbawiać świat i ojczyznę...

M. KOSTECKI

P. S. W krótkim, przyczynkowym felietonie — niesposób oczywiście przepisywać kuracje. Po wakacjach — gdy powrócą z urlopów lepsi od nas specje i praktycy — postaramy się problem rozwinąć szerzej.



BRIGITTE BARDOT nie gra wprawdzie w „Casino de Paris”, ale oglądamy ją często w filmach muzycznych

Filmowcy jugosłowiańscy skutecznie przełamali krąg tematów związanych z okupacją i wojną partyzancką. Po tak ciekawych pozycjach jak „Sobotni wieczór”, „Bez rozkładu jazdy” i znakomitym „H-8” temat współczesny podjęto również w filmie „Niebo bez miłości”.

Problem dojrzałości psychicznej młodzieży do zawierania związków małżeńskich problem tzw granicy wieku dojrzałego jest dyskutowany na całym świecie — także i u nas. Toteż film „Niebo bez miłości” godny jest obejrzenia przede wszystkim ze względu na postawiony problem i jego exemplifikację na konkretnym przykładzie tra-

gicznego losu młodego małżeństwa.

Niestety reżyser użył konstrukcji dość ograniczonej, stworzył film ze stereotypową zagadką kryminalną „Kto zabił?”. Połączył dość

mu nie obce są konflikty wśród młodych.

Narracja prowadzona jest według utartych schematów, tempo bardzo nierówne, film staje się w pewnych partiach bardzo ekli-

logu) lepiej się go ogląda. Tym bardziej, że operator umiejętnie wydobywa aparytę uroczych młodych aktorek i ciekawych aktorów

Na marginesie tego filmu nasuwa się pytanie — dlaczego słabiej rozwinięta, kinematografia jugosłowiańska, stać na współczesne tematy, gdy u nas (mamy wielu utalentowanych twórców), sprawy dnia dzisiejszego tak trudno znajdują drogę na ekran? Czy deklaratywnie i bardzo ogólnikowe artykuły prasowe — stworzyć mogą „zielone światło” przed współczesnym tematem?

A. NIESMIALEK

NIEBO BEZ MIŁOŚCI

schematyczną metodę odtworzenia wypadków z bieżącej relacją śledztwa prowadzonego przez komisarza policji. Wziął nawet wzór z licznych filmów francuskich ukazując postać tzw. ludzkiego komisarza, które-

wym i sentymentalnym melodramatem. Słabości warsztatu reżyserskiego iawadzone są bardzo dobrymi zdjęciami. Toteż film ten, choć go się czasami słucha, a raczej czyta bez przekonania, (deklaratywność dia-



KIM NOVAK I KIRK DOUGLAS w amerykańskim filmie „Obcy, gdy się spotkamy”. Z fotosu tej „obcości” nie widać!

Białe myszki

Przed paru tygodniami obchodziliśmy mocno przezrocza reklamowe w łódzkich kinach. Nasza uwaga o ich przeraźliwie niskim poziomie, zredagowanym można by jeszcze uzupełnić zarzutem o znikomej wartości reklamowej tych kin. Można tam nieraz znaleźć kilkadziesiąt słów tekstu; po 10 adresów i numerów telefonów — zamiast lapidarnego hasła. Pewnie, nie każdy referent MHD jest Melchiorzem Wańkowiczem (on to właśnie wydmuch przed wojną sławny slogan „caudier krzepi”).

Wróćmy jednak do poprzedniej notatki. Wbrew przewidywaniom, Spółdzielnia Usług Filmowych zategowała jednak na naszą skromną notatkę. I to w osobnym niemiernie oryginalnym. Oto w Redakcji zjawił się wysłannik Spółdzielni i przekazał nam mały pakietek. Okazało się, że zawiera on komplet przezroczy, które półtora roku temu reklamowały „tygodnik „Odgłosy”! Pakietek nie miał żadnych załączników, pismka, czy czegoś w tym rodzaju.

Spółdzielnia — gratulujemy dobrego dowcipu, chyba jeszcze nikt w Polsce nie odpowiadał tak na krytykę prasową! Szkopuł tylko w tym że rzezone kłusze są istotnie na przewolnym co najmniej poziomie graficznym (projektował je S. Ibi-Gratkowski, nasz redakcyjny kolega) — i tak chyba pojmowała swój gest Spółdzielnia. Ale w efekcie ostatecznym owe dobre przezrocza leżą u nas w biurku, a na ekranach panoszą się bohomyzy. (JERT)

Repertuar ogórkowy

W polskiej kinematografii nie ma pojęcia „sezon”. A właściwie nie obowiązuje ono w takim stopniu jak w teatrze. Sierpień nie sierpień sale kinowe są pełne, a — frekwencja nie schodzi poniżej średniego zachodnio-europejskiego poziomu w grudniu.

Nic w tym dziwnego. Po prostu taka ilość sal kinowych załatwia akurat potrzeby pozostałej w miastach połowy mieszkańców. I to połowy, której głównym zainteresowaniem jest plaża i słońce...

Właściwie dopiero latem sytuacja w naszych kinach nabiera cechy „normalności” (szybko i bez błoku można nabyć bilety, koniki żyją z filmów tylko wyjątkowo atrakcyjnych).

Ale specjaliści od rozpowszechniania są u nas rozpieszczeni. W ich mniemaniu „powodzenie” to nie 70% frekwencji, a wyważone drzwi i stralowany bileter. Oni nie lubią „normalności”, normalność mocno nadwyręza premie.

Latem więc notuje się wyjątkową pogoń za filmami gwarantującymi komplet na widowni. Jeżeli filmy artystyczne, tak zwane trudne, przez cały rok z trudem torują sobie dostęp do widzów to latem nie mają prawie żadnych szans na wyświetlenie.

Spójrzmy do repertuaru w gazecie „Zezowate szczęście” w podrzędnych kinach. „Lotna” i „Tam gdzie rosną poziomki” w jeszcze gorszym, reszta — to legendy o miłości, pulapki, wzywające kosmosy, piękne tancerki itp.

Wielokrotnie i jak dotychczas bezskutecznie krytyka i publicystyka atakowały nierozsądny system bodźców finansowych premiujących utrzymanie frekwencji za wszelką cenę, bez różnicowania jakości filmów.

Śmieszne ale ciągle trzeba przypominać — i to zapewne rozsądnym ludziom — że lepiej, by przeciętny obywatel obejrzał miesięcznie dwa filmy wartościowe, kształtujące intelekt, niż cztery mierne.

A jeśli chodzi o opłacalność kina? Nie wierzę, by forsowanie filmów interesujących artystycznie i ideowo, przy sprężystej reklamie zmniejszyło generalnie frekwencję.

W ogóle lepiej, żeby sprawy finansowe stały w kinematografii na drugim miejscu. O pieniądzech mówmy raczej z okazji kosmetyków.

TADEUSZ ZAKOWIECKI

